BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 385

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

POWIEŚĆ

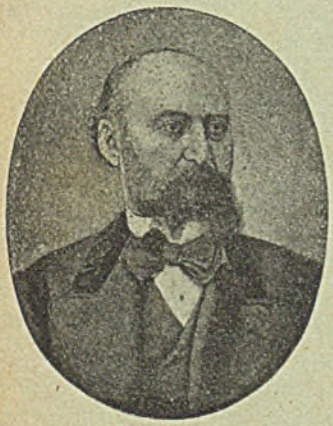

Z PRZEDMOWĄ

Wł. Jabłonowskiego.

TOM III.

Cena 65 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya

14. Warecka 14.

1905.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyę dopłaca się 20 kop

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

Redakcya Administracya Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 88
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO WARECKA 14.

Pogwizdów
P. Miechów.

ROZBITEK.

Państwowe Liceum Pedagogiczne
Biblioteka
w Grudziądzu
8-3

Kacz
Rozb.
830 t. III

JI 850

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Brwinowie

POWIEŚĆ

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GŁUWICACH Nr 830

TOM III.

Pogwizdów Pawłowice

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1905

Politechnika Śląska
BIBLIOTEKA
Kolegium Pedagogiczne
STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
Biblioteka
Gliwice
SN 21137

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Мая 1905 г.

Kolegium Nauczycielskie
BIBLIOTEKA
Chwałce
821.1621-3

VI.

W pół godziny potem wszyscy goście się rozjechali z Przewoźnik. Napróżno ich zatrzymywał szambelan, bez Izydora jego dom wcale nie był zabawnym.

Po ich odjezdzie Józia, uskarżywszy się na ból głowy, wyszła do swego pokoju, wyszła za nią i ciotka, a szambelan z synem wynieśli się do sąsiedniego pokoju i mieli tam z sobą następującą rozmowę. Szambelan siadł w poręczowe krzesło, zapalił lulkę i zaczął:

— Cóż ty rozumiesz, Fonsiu? Rozsnuliśmy jakąś intrygę i spodziewaliśmy się po niej, że nas w ten moment zaprowadzi do celu, a teraz sami nie wiemy, jak stoimy.

— Z Izydorem nie łatwa jest sprawa — rzekł Fonsio, przechodząc się, jak zwykle, z zachmurzonem czołem i nastrzępionemi brwiami po gabinecie.

— Ja tego panka nie rozumiem zupełnie —

mówił szambelan. — Proszę cię, czy widziałeś to dobrze, że jego dom jest urządzony nanowo?

— Wszystko widziałem.

— Ale czy urządzony jest tak wyraźnie, jak na przyjęcie żony potrzeba, bo to ci wielcy panowie mają rozmaite fantazye.

— Połowa domu jest urządzona jak najwyraźniej na przyjęcie kobiety, żadnego tam ćwieczka nie braknie, a nawet, jak memu Franciszkowi mówili tamtejsi służący, poszły już konie do Krakowa po sprowadzone z Wiednia powozy.

— Hm! w takim razie jeszcze mniej go rozumiem. Czyż chce, ażebyśmy przed nim uklękli i może jeszcze żonę mu zawieźli do domu?

Trwała chwilka milczenia.

— Cóż ty rozumiesz? — zapytał znowu szambelan.

— Ja nic nie rozumiem napewno — rzekł Alfons — ale zdaje mi się, że ta rzecz tak się ma. Izydorowi podobała się Józia i w pierwszej chwili uniósł się dla niej, ale potem nie podobały mu się te i owe okoliczności i teraz jest na drodze rozstajnej. Zle się zrobiło, że Józia, poznawszy się z Izydorem, bywała tak często u hrabiny Millefleurs i tak dalej, a nie bywała gdzieindziej; źle może i to, żeśmy tu ściągnęli Karola, bo Izydor już zrozumiał, na cośmy go tutaj ściągnęli i widocznie drwi sobie z tego. Na każdy wypadek, jabym był zdania, ażeby z tym Karolem dać pokój, bo to już teraz oczywiście nic nie pomoże, a może nas uwikłać w zajścia wcale niemile. To jest człowiek żyjący tylko sercem, namiętny, niepowściągliwy, burzliwy, a jeszcze do

tego z gorącą głową: z takimi ludźmi wszelkie stosunki są niebezpieczne.

Patrzał na niego szambelan, poprawiał okulary i myślał. Zdawało się, jak gdyby go chciał o coś zapytać, a nie miał odwagi. Odważył się wreszcie i rzekł:

— A cóż ty o Karolu rozumiesz?

— Czy jako o mężu dla Józi? — rzekł Alfons z nietajonem szyderstwem.

Szambelan milczał.

— Takiego szwagra—mówił dalej Alfons—wcale sobie nie życzę.

— Powiedz-że mi, dlaczego?

— Dlaczego? ze stu powodów. Majątek ma mały i na tej drodze nigdy nic znaczyć nie będzie. Skompromitowany jest—a zatem ma drogę zamkniętą do wszelkiego innego znaczenia. Do tego jeszcze głowa gorąca, lada dzień może się znowu skompromitować—a wtedy proszę sobie wyobrazić, jaka piękna rzecz dla mnie, mieć szwagra w kozie albo i w fortecy! Nie śmiałbym oka pokazać pomiędzy ludźmi i zagryzłbym się od wstydu.

— To wszystko prawda—mówił na to szambelan—okoliczności te mówią przeciwko niemu, ale chcąc go sprawiedliwie osądzić, trzeba wymienić i te, które mówią za nim.

— Nic o nich nie wiem.

— A ja ci powiem. Najpierw tedy Zawisłocze nie jest to taki mały majątek, jak ci się zdaje. Zawisłocze, urządzone dobrze, to bardzo przyzwoita fortuna. Ja wprawdzie nie widzę w Karolu żadnego administracyjnego talentu, ale naprzód jest to chło-

piec bardzo młody, z którego się jeszcze wszystko da zrobić i zrobi się pewno, jeżeli ja go wezmę w moją opiekę. Powtóre, przecież i Józi coś damy, a chociaż jej damy daleko mniej wtedy, jeżeli pójdzie za Karola, aniżeli wtedy, kiedy pójdzie za Izydora, to zawsze posag jej znacznie fortunę Karola pomnoży. Nie przeczę temu, że pomiędzy Izydorem a Karolem niemasz żadnego porównania: tamto jest człowiek skończony i mający już dzisiaj niezaprzeczone i wielorakie znaczenie, a to jest sobie nic. A to nic ma dla nas wielką wartość właśnie dla swojej nicości. Jakoż gdy Izydor, ożeniwszy się z Józią, niezawodnie od nas odpadnie i zaledwie z niego tyle będziemy mieć korzyści, iż świat będzie wiedział, że jego żona to moja córka a twoja siostra, przeciwnie z Karola możemy sobie wyrobić narzędzie, które nam bardzo będzie przydatnem. Haniebnaby to rzecz była, bez żadnego wątpienia, gdyby się Karol potem skompromitował nanowo, ale nawet i z takiego zdarzenia jeszcze byśmy prędzej wyciągnęli pożytek, aniżeli szkodę odnieśli. A coby nam to szkodziło w tych kołach, w których mamy jakieś znaczenie, że się ktoś z naszej rodziny skompromitował? A przyniosłoby nam niemałe korzyści w kołach tych, gdzie żadnego znaczenia nie mamy, a mamy wrogów nieubłaganych. Ty powiesz pewnie, że nie dbasz o takich wrogów, ale wierz memu doświadczeniu, że tak mówić nie można. Opinia publiczna, choćby nawet uliczna, nie jest to przecież rzecz taka, którąby można pogardzać bezkarnie. Jest tam coś w tem koniecznie, jest tam daleko więcej, aniżeli się nam wydaje. Ja to wiem z doświadcze-

nia, a i ty się przekonasz, jeżeli weźmiesz to na uwagę, że tą opinią nikt nie pogardza, nawet z tych ludzi, którzy mniej więcej pod każdym względem są z nami na równi. Miej ty w tem kole nie wiedzieć jak ustalone znaczenie, a niech cię raz tylko ta opinia uliczna błotem obrzuci, zobaczysz, że uciekać od ciebie będą nawet ci, którzy by ją radzi widzieć na szubienicy. To jest rzecz pewna, jakoż nie mniej pewna i ta, że jeżeliby się z nami spokrewnił, to powinniśmy się jaknajusilniej starać o to, ażeby w opinii publicznej jak największą popularność uzyskał i przy niej się utrzymał. Materyał do tego w nim jest, tylkoby go potrzeba umiejętnie pokierować, o co nie byłoby trudno, a widziałbyś potem niebawem, jak taki człowiek w naszej rodzinie byłby nam pożytecznym.

— Nie przeczę temu—rzekł Alfons—jest to myśl dosyć praktyczna; ale na cóż nam człowieka takiego z Karola dopiero wyrabiać, kiedy go w Izydorze mamy już gotowego? Izydor jest bardzo popularnym i szanowanym przez wszystkie warsty, od najwyższej do najniższej.

— Izydor jest popularnym, to prawda, ale ta popularność jest bardzo wątpliwego dla nas pożytku. Izydor stoi zanadto na własnych nogach, ażeby się nam dał powodować. Jest on weredyk zresztą— i jak z jednej strony z pewnościąby nas wtedy odstąpił, kiedyby się przeciw nam obruszyła opinia, tak znowu z drugiej, kto wie, czyli będąc naszym zięciem, nie zechciałby się mieszać w nasze interesy, ażeby je wedle swego widzenia prostować...

— Tegobyśmy mu przecież nie dopuścili.

— To w takim razie najniezawodniejby się z nami poróżnił i zamiast pomagać, jeszczeby nam przeszkadzał...

— Dziwak to jest, nie ma co mówić—rzekł na to Alfons — ale przecież trudno przypuścić, ażeby mógł być dziwakiem do tego stopnia.

— I ja tego nie przypuszczam—odpowiedział szambelan—chcę tylko wszystko rozważyć i należycie ocenić. Albowiem tylko na takim postawiwszy się gruncie, można być dostatecznie roztropnym. A roztropność, wiesz dobrze, bardzo nam jest potrzebną, wzgląd na opinię konieczny. Jeszcze i z naszych interesów tutejszych nie jeden rozmaicie jest tłomaczony, a cóż dopiero sprawa o nasze dobra podolskie, na którą już mnie samego dochodziły sarkania?

— Za nadto wiele względu zwraca ojciec na tę opinię! Ja się na tę rzecz zapatruję wcale inaczej. Nie zapominam o tem, że żyję w dziewiętnastym wieku, którego głównem bożyszczem jest pieniądz. Opinia, sława, familijne relacye i tak dalej, wszystko to są dziś *dii minorum gentium*, które tak tańcują, jak pieniądz Jowisz im zagra. Mój ojcze, gdybyśmy nie mieli pieniędzy, aniby Izydor, ani Karol, ani pies nawetby do naszego domu nie zajrzał. To jest rzecz główna, a wszystko reszta to bagatela!...

Z podziwieniem prawie patrzał szambelan na syna, który jak widać, w postępowej nauce, nazwanej brzmiąco ekonomią materyalną ludzkiego społeczeństwa, jeszcze o wiele go przeszedł. I on wyznawał takie zasady i wedle nich postępował przez

całe życie, ale przyznać się do nich tak otwarcie i śmiało przecież nie miał odwagi. Aleć to tak najczęściej się zdarza w tem życiu! Zacny, prawy, cnotliwy ojciec rzadko kiedy się widzi prześcignionym w swych cnotach od syna; ale syn ojca niepoczciwego, zaledwie szkoły ukończy, już mu w niepoczciwości mistrzuje. Dopiero kiedyś, gdy niepoczciwość wszelką przebierze miarę, w jakiemś pokoleniu dalekiem, następuje nagła reakcya, a wtedy wnuk, jak gdyby duchem świętym natchniony, zstępuje z drogi przez swoją rodzinę utartej i idzie pokutować za wszystkie grzechy swoich ojców i dziadów.

— Na tej też opierając się zasadzie — ciągnął dalej syn szambelana—już dla samego majątku przenoszę hrabiego nad Karola.

— A cóż ty rozumiesz o majątku hrabiego?

— Rozumiem to, że jego konie są więcej warte, niż pół Zawisłocza.

— Ale jego długi są więcej warte, niż dwa Zawisłocza.

— Czy tak?

— A tak.

— Karol nie ma długów?

— Być może, że w tych dniach zaciągnął dług towarzystwa kredytowego, o czem mnie wieści dochodzą z boku; ale i w takim razie jeszcze to nic, zwłaszcza, że na to mają dość znaczne sumki, polokowane na wsiach sąsiedzkich.

— Już ojciec, jak widzę, wyraźnie za Karolem pociąga. Musiał Izydor czemś ojca obrazić. Nie jestem koniecznie za tem, ażeby zapominać obrazy;

ale tego nie mogę pochwalić, jeżeli się o nich pamięta przy interesach.

Znowu odebrał ojciec naukę od syna, ale ją znowu przemilczał, a natomiast rzekł:

— Ja ani za Izydorem nie pociągam, ani też za Karolem, bo wybierając z pomiędzy tych dwóch, prawie zupełnie mi jedno, czy tamtemu dam córkę, czy temu? Idzie mi tylko o to, aby tę rzecz już skończyć nareszcie...

— Otóż i mnie o to idzie — przerwał mu Alfons—bo tylko dlatego tu siedzę i siedzę tak długo, a tam kto wie, co się u mnie dzieje i tyle tam mam interesów na głowie.

— W tem się więc zupełnie nie zgadzamy, a zapewne i w tem, że teraz, kiedy się nam nie udało przez Karola zniewolić Izydora do deklaracyi, trzeba tę rzecz kończyć czemprędzej. Jestem nawet zdania, że nie ma co teraz już między środkami przebierać, ażeby potem nie było zapóźno. Zdeklarowani konkurenci około panny to rzecz najgorsza. A zresztą Józia ma już dwudziesty rok. Do dwudziestego roku panna wychodzi zamąż z łatwością, po roku dwudziestym, już to tylko szczęśliwy przypadek...

— No, więc cóż ojciec zamyśla?

— Ja tedy myślę wziąć się najpierwej do Izydora i przyprzeć go teraz, nie tym to owym sposobem, a choćby nawet całkiem otwarcie...

— I ja tak myślę.

— A jeżeli Izydor zrejteruje, dopuścić bez ceremonii Karola i pobłogosławić.

— Dobrze—rzekł Alfons stanowczo — ja tylko sobie to jeszcze wymawiam: że jeżeli Izydor się oże-

ni z Józią, to już nareszcie da mu się Przewoźniki, z tym oczywiście warunkiem, że Józia pozostanie w hipotece i że mu ich na żaden sposób obdłużyć nie wolno. Kładę to na wypadek najgorszy, ale rozumie się samo przez się, iż będziemy próbowali, ażaliby on nie wolał odebrać zamiast Przewoźnik, jakieś sumki w gotówce, wzamian za to, ażeby cały swój majątek przeniósł na Józię. Zważywszy na jego bladość, czasem odzywający się kaszel, a zawsze tak mocno wypalone rumieńce, jabym to wolał i gotówbym był nawet nieźle zapłacić za Przewoźniki... Jeżeli zaś Karol ożeni się z Józią, wtedy o Przewoźnikach ani mowy nie będzie, Karol dostanie rentę. Po kilku latach, jak się tego okaże potrzeba (a pewnie się ta potrzeba okaże), dostanie jednę zaliczkę, potem drugą, a przy trzeciej zamieniamy Przewoźniki na Zawisłocze. Tym sposobem Zawisłocze się łączy z Bobrówką, o! a Przewoźniki dla takiego szlachcica to bardzo piękna fortuna.

Na taką propozycyę godnego syna szambelanowi głos zamarł w gardle. W rozczuleniu najwyższem poszedł do biurka, wydobył zeń papier na tysiąc guldenów i dając go Alfonsowi drżącemi rękami, rzekł prawie ze łzami w oczach!

— Masz, moje dziecko, kup sobie „Beauty“ od Jasia.

Miedziany Alfons schował papierek z największą obojętnością do kamizelki i zaczął się po swojemu przechadzać po gabinecie. Był wszakże mniej pochmurnym w tej chwili, nawet dosyć pogodnym, co też nie dziwna: niespodziewanym sposobem zrobił dobry interes.

Ale szambelan, choć bezwątpienia zły zrobił interes, nie przestał na tem, tylko zabrał głos bardzo wymowny, rozwodząc się nad tem, coby to było, gdyby mu się udało Zawisłocze połączyć z Bobrówką? Byłaby to według niego już prawie pańska fortuna, zwłaszcza, że koło Borówki i Zawisłocza jest jeszcze kilka pomniejszych wiosek, któreby nabyć można z łatwością, a których dzisiaj nabywać nie warto, bo choćby ich nabyć nie wiedzieć wiele, zawsze im będzie brakować środkowego punktu i zawsze będą wyglądać tylko jak zawisłockie folwarki. Zawisłocze, ze starym zamkiem, ze starożytnym ogrodem o kilkunastu morgach, z tysiącomorgowym lasem, Zawisłocze tak panujące wspaniale na kilka mil naokoło, wywróciłe głowę szambelanowi na nice...

Jakoż o tem już tylko trwała rozmowa pomiędzy ojcem i synem do późnej nocy, którą co chwila przeplatało powtarzane postanowienie, ażeby zaraz jutro jechać do Grzymalina i Izydora niewolić do deklaracyi—jeżeli zaś to się nie uda, żenić w ten moment Karola.

Postanowienie to było nadzwyczaj trafne, obawiamy się tylko, czyli nie było już troszeczkę zapóźne...

Tymczasem, kiedy na prawem skrzydle pałacu tak żarliwie radzono o losach Józi, nie pytając jej wcale ani o jej uczucia, ani o zdanie — ona sama znajdowała się na ostatnim krańcu lewego skrzydła i była dziwnie smutną i przygnębioną. Siedziała na małem krześle przy stole, główkę oparła na ręce i miała twarz tak wzburzoną, jakgdyby dopiero co

jakąś olbrzymią stoczyła walkę, albo ją jeszcze teraz toczyła. Po pokoju powolnym krokiem przechadzała się siostra jej ojca, ze złotą lornetką w ręku, i przypatrując jej się od czasu do czasu nadzwyczaj pilnie, urywaną z nią prowadziła rozmowę.

— Nie smuć się, moje dziecko — rzekła ciotka nareszcie — wszystko to jest jaknajwiększe dzieciństwo. Minie rok jeden i drugi—a potem sama nie będziesz się mogła temu wydziwić, że cię takie drobnostki mogły tak boleśnie dojmować.

— O nie! moja ciotko, nie! — odpowiedziała Józia z taką energią, jakiej po jej melancholicznej powierzchowności z ostatnich czasów zaledwie się można było spodziewać—nie, moja ciotko. To nie są wcale drobnostki. Oh! — zawołała, porywając się z krzesła i łamiąc ręce ze łzami — tak go nielitościwie odprawić, tak po tyrańsku rozszarpać kochające to serce, nie! to jest nad moje siły. Miałam już siłę po temu... ale ja straszny popełniłam występek, ja tego nigdy nie przeboleję!

— Czas moje dziecko, jest doskonałym lekarzem na wszystko, a najlepszym na miłość. I czy ty myślisz istotnie, że Karol będzie tak bardzo rozpaczał, żeby to aż zdrowiu jego szkodziło? Nie znasz ty jeszcze mężczyzn, moja Józiu kochana, poznasz ich kiedyś, a wtedy będziesz wcale inaczej o nich rozumieć.

— Ciocia nie zna Karola.

— Nie jest on innym od wszystkich.

— Oh! wcale innym. Przynajmniej dzisiaj jest innym i jeszcze długo nim będzie.

— Ja w nim nie widzę nic odmiennego. I cóż!

Kocha się, tak jak każdy się kocha w tobie, który cię tylko zobaczy.

— Ale jak on się kocha!

— Tak, jak każdy. A Izydor czy się także nie kocha?

— Także się kocha, niestety! — odpowiedziała Józia z ciężkiem westchnieniem.

— Więc o cóż chodzi? jużci jednego z nich trzeba poświęcić. A wybierając pomiędzy tymi dwoma, zaprawdę niema żadnej trudności w wyborze. Niema tu zresztą już co się wdawać w żadne długie dysputy, rzecz skończona. Odprawiłaś już Karola, już nie wróci...

— Także mi ciocia powiada! — odpowiedziała dumnie szambelanówna — każdy z nich odprawiony sto razy, na każde skinienie się wróci.

Westchnęła na to ciotka, myśląc zapewne: Gdzież te czasy, kiedy i ja tak samo mogłam powiedzieć o sobie!

Józia zapadła znów w zamyślenie. Zbliżyła się do niej ciotka, pogłaskała ją pod brodę i rzekła:

— Nie myśl już o tem, moje dziecko, to cię tylko irytuje tem więcej. Zrobiłaś wybór najlepszy i nie powinnaś mieć sobie nic do wyrzucenia.

— Ja nic o tem nie wiem, jaki zrobiłam wybór. Czas to dopiero pokaże: nateraz i zapewne nadługo pozostałam w niepewności najsroższej. O! gdybym przynajmniej wiedziała, że ten, któregom tak nielitościwie odepchnęła od siebie, będzie na tem mniej cierpiał, aniżeli ten, któregom sobie wybrała?

— O! to przecież najmniejszemu nie ulega wątpieniu.

— Dlaczegoż to? ja tego wcale nie widzę — zapytała Józia, rada zapewne usłyszeć, coby odpowiadało teraźniejszemu jej przekonaniu.

— To jest rzecz najprostsza po słońcem—odpowiedziała jej ciotka.—Widzisz moje dziecko, Karol to jeszcze chłopiec młodziutki, zakocha się prędko, może nawet dosyć gwałtownie, ale dlatego właśnie tem prędzej swoją miłość zapomni. Pocierpi trochę, popłacze może, będzie się rzucał niepowściągliwie w boleści; ale lada dzień nawinie mu się jakaś inna twarzyczka, podoba mu się, bo młodemu zawsze się coś musi podobać, i on się jej także podoba, bo młody — ot! i już koniec boleściom.

— Nigdy tego Karol nie zrobi — zauważyła stanowczo Józia.

— Zrobi najniezawodniej i zobaczysz, że wkrótce same się o tem dowiemy. A nie tak się ma Izydor. Izydor stoi dziś na tym punkcie, na którym człowiek żegna się z młodością. Ty nie wiesz, moje dziecko, jaka to jest chwila ważna; z jaką to skwapliwością, z jakim zapałem chwyta się wtedy za to wszystko, co młodość z sobą przynosi, z jaką namiętnością przywiązuje się do tego, co te resztki młodości są w stanie zdobyć i przekazać dalszemu życiu. Nie pierwsza to miłość, moje dziecko, jest tak gwałtowną, jak ją opisują poeci, ale właśnie ostatnia. Nie pierwsza to miłość, która nas nawiedza wtedy, kiedy cały świat przed nami otwarty, jest w nas nieuleczoną; ale ostatnia, która przy-

Biblioteka — T 385

chodzi wtedy, kiedy oprócz niej niczego się już nie możemy spodziewać po świecie. Taka to miłość jest tą chorobą, na którą niema żadnego lekarstwa — i ona to w nas zostawia tę gorycz, tę rozpacz, która nam towarzyszy do grobu. A w takim właśnie wypadku znajduje się Izydor. Sto razy Karol jeszcze się może wyleczyć z zawiedzionej miłości—Izydor nigdy się już nie wyleczy. Odprawiając Karola, sprawiasz mu przykrość—Izydora, zabijasz!

Józia milczała. Po chwili znów ciotka mówiła dalej:

— A zresztą, moje dziecko, nie na to stworzony jest człowiek, ażeby się drugimi zajmował, lecz przedewszystkiem samym sobą. Niedorzeczna to panna, która dlatego idzie za kogoś, że gdyby nie poszła, to onby na to chorował. Może kiedyś były takie poczciwe panny na świecie, ale dziś nie zostało z nich ani śladu. Nawet tradycya ich zaginęła, jeżeli była; ja przynajmniej nic o niej nie słyszałam. Dziś każda panna ma rozum i rozumnie wybiera. A proszę cię, jak tu można tylko się zastanawiać, mając do wyboru pomiędzy Karolem a Izydorem? Karol, jakiś mały szlachetka o jednej wiosce, ledwie sam z czego ma wyżyć, bez znaczenia, bez stanowiska, bez żadnych relacyj na wielkim świecie, studencik jakiś, stojący jeszcze do dziś dnia pod opieką swej matki, kobiety, jak słyszę, nieznośnej, nudnej, kapryśnej bigotki i dziwnej jakiejś arystokratki. Cóżbyś ty tam miała za życie, choćbyś się nawet i w twoim mężu kochała? Miłość mężowska, choćby się w pierwszych czasach zdobyła

na jakie takie powozy, na znośną służbę, a nawet w pierwszym roku na jaką podróż do Maryenbadu, jeżeliby na nią zezwoliła mamunia wprędce potem wcaleby się zmieniła, bo musi się zmienić—na Zawisłoczu. Po latach kilku, kiedy ty właśnie będziesz jaśnieć najświetniejszą pięknością, kiedy ci właśnie używać tego świata, którego cała młodzież u nóg leżeć ci będzie, ty co natenczas? Ty, jako prosta szlachcianka, siedzieć będziesz na wsi, będziesz mamczyć i niańczyć swym dzieciom, pocieszać skłopotanego męża, który ci się skarżyć będzie na ciężkie czasy, przez miłość dla niego klucze nosić u pasa i odmawiać sobie nawet wstążeczek — a za to wszystko wolno ci będzie w niedzielę rano do parafialnego wyjechać kościoła, a po południu przyjmować księdza plebana, a w najlepszym razie pana Piotra i Pawła, którzy cię będą tytułować panią dobrodziejką i bawić konwersacyą o pszenicy i o życie. Dodaj jeszcze do tego ukochaną babunię, która od świtu do nocy oka z ciebie nie spuści, w której oczach ty zawsze za mało będziesz kochać swojego męża i która cię będzie gospodarstwa uczyć przez całe życie—dodaj do tego te wiejskie obiady, na których szlachta się spije, jak susły i zmoczonemi wąsami będzie zamiatać twe rączki; bodaj te wiejskie bale, na których będziesz musiała hulać z młodzieżą wiejską, zamaszystą i tupającą, że aż ci w uszach będzie strzykało; dodaj jeszcze do tego wszystkie odpusty i imieniny, na których siedzieć będziesz na kanapie pomiędzy wyczupierzonemi parafiankami, patrzącemi na twoją suknię z rozdziawionemi gębami i obnoszącemi cię potem po całym

świecie, że tracisz, rujnujesz męża, niepotrzebne zbytki wprowadzasz, albo jeszcze i gorzej — a będziesz miała wierny obraz przyszłości twej w Zawisłoczu. Roztyjesz się, zestarzejesz przed czasem i zostaniesz jejmością—a za kilka lat i pamięć o tobie zaginie na świecie! Przyjdzie potem kiedyś żal i skrucha i ciężkie wyrzuty przeciwko sobie—wtedy ci się i oczy otworzą, ale niestety! zapóźno. Znam ja to wszystko jaknajdoskonalej, tak to było i ze mną!...

Jozia ciągle milczała — a ciotka mówiła dalej:

— A nawzajem, czyż potrzebuję ci przedstawiać, jakie będzie twoje pożycie z Izydorem. Człowiek to taki bogaty, mający imię tak piękne, taki ton wzniosły, tak delikatne uczucie, smak taki wykwintny i tak wspaniałe relacye na wielkim świecie! A jak cię kocha, o tem nie trzeba i mówić. Wszystko to, co on dzisiaj powiada, najwierutniejsza bajka. Niechno się tylko ożeni, wszystko z nim zrobisz, co zechcesz. Nie tacy to straszni są ci mężowie, jakich radzi udają; ja to wiem z doświadczenia. Na klęczkach będzie chodził przed tobą, jeżeli tylko tego nie będzie trzeba, bo tu rzecz przewidziana, jak on sam dom swój urządzi. Ja tobie ręczę, że ty z nim ani jednej zimy nie przepędzisz na wsi, będziecie ciągle we Lwowie, w Krakowie, w Wiedniu, a bezwątpienia i w Paryżu. Nie zaśniedziejesz za nim, nie potrzebujesz się obawiać tych kół towarzyskich, w które on cię wprowadzi— a przy twojej piękności, twoje życie będzie tylko łańcuchem nieprzerwanych tryumfów. Wrócicie na

wieś na chwilę, a choćby nawet na dłużej, to i tu jeszcze nie będzie ani porównania pomiędzy Zawisłoczem a Grzymalinem. Dom elegancki, najpiękniejsze powozy i konie, gość doborowy, ciągłe relacye ze światem—to wcale jest co innego. Przy takiem życiu będziesz wesołą, piękną i młodą na wieki, chmury najwykwintniejszej młodzieży otaczać cię będą bez przerwy, będziesz się nimi bawić, jak ci się będzie podobać — a zestarzejesz się, to i tak jeszcze zatrzymasz to stanowisko na świecie, jakie ci się słusznie należy... Cóż, czy jeszcze ci żal twego Karola?

Józia się w tej chwili trzymała obydwiema rękami za głowę i zdawała się być mocno cierpiącą. Jej fizyczny organizm nawet, chociaż może bezwiednie, wzburzył się pod naciskiem tej perory szatańskiej i targał się w mękach piekielnych.

— Cóż tobie?—spytała ciotka.

— Głowa mnie pali, jak ogniem, muszę się troszkę położyć.

— To połóż się, moje dziecko, i poleż sobie spokojnie, to przejdzie.

Biedna Józia! Oh! czemu nie było przy niej w tej chwili jakiego dobrego ducha, któryby ją był gwałtem powrócił na ową drogę, na której była, siedząc w chatce Bernata! A było to teraz tak łatwo Był tam wprawdzie obraz Matki Najświętszej, który! wisiał nad jej łóżeczkiem—jedna modlitwa, jedno serdeczne westchnienie na klęczkach, byłoby może poradziło wszystkiemu—ale niestety! nie było niko-

go przy niej, któryby jej oczy obrócił w tę stronę i ugiął pod nią kolana!...

Józia się położyła na łóżko i cierpiała troszeczkę—a jak ból głowy przeminął, zaczęła marzyć o błyszczących powozach, galonowanej służbie i salonach Paryża.

VII.

Dziwnie są czasem leniwi ludzie we wzięciu postanowienia wtedy, kiedy to postanowienie od nich samych zawisło i kiedy go najpilniej potrzeba; ale natomiast ileż razy rwą się do ostatecznej decyzyi tam, gdzie ona wcale od kogo innego zależy. Bodaj czy nie tak samo działo się w Przewoźnikach. Wszyscy tam bowiem, i szambelan i Alfons, i ciotka i Józia, rozumieli o sobie, że dosyć jednego ich słowa, ażeby jednego z konkurentów przyjąć, a drugiego odrzucić—a żadnemu z nich ani na myśl nie przyszło, że ani Izydor, ani Karol, nie są martwemi rzeczami i mogą mieć także swą wolę. Ale to taka zarozumiałość, taka szatańska pycha siedzi w tych ludziach, którzy ugięli kolana przed bożkiem dziewiętnastego wieku, przed złotym cielcem-materyą. Nie zapoznali oni ducha, lecz zlekceważyli moc jego; widząc w nim tylko pomysły, uniesienia, namiętności, zapały, o których im się zdaje, że są tylko na to, ażeby się zamieniały w cy-

fry dla ich niechrześcijańskiej rachuby. Niechaj-że się ten duch broni, niech nie ustaje w swej waleczności, niech nie da wydrzeć ani jednej stopy ziemi z siebie; bo zaprawdę niemale jest podobieństwo, że może uledz i stać się niewolnikiem materyi na tak długo, aż póki go jaki wiekowy geniusz nie wyswobodzi z tych więzów i nie powróci mu panowania nad światem...

Obadwa konkurenci dawno już byli w Grzymalinie. Tak jadąc, jak ruszyli z przed ganku, za kilkanaście minut byli już na dziedzińcu. Przez całą drogę nie mówili ani słowa do siebie — trudno im nawet było co mówić, kiedy konie, puszczone na wiatr, parły takim gwałtownym pędem, że kabryolet rzucał się po drodze jak piłka i raz tylko, kiedy ten lekki powozik, uderzywszy o kamień, podskoczył o dwa łokcie od ziemi, Izydor się na to uśmiechnął, obrócił się do Karola i rzekł:

— Ot! i małośmy karków nie pokręcili! Ale kto wie, możeby to było i nieźle?...

— Nie miałbym nic przeciw temu w tej chwili—odpowiedział mu Karol ozięble i nie przerywał dalszego milczenia.

Zajechali nareszcie w dziedziniec. Tam się zatrzymali na moment, tam bowiem zastali trzy powozy, właśnie co przywiezione z Wiednia i dopiero co uwolnione z opakowania. Śliczne to były powozy; była jedna, duża kareta, na wiszących resorach, tak zwany: *Staatswagen*, z wyniosłym kozłem, ozdobionym pysznym czaprakiem, druga była mała karetka, trzeci powóz był duży, oszklony—a wszystko to eleganckie, pyszne i w smaku, jak tylko można

najlepszym. Oglądali obadwa młodzieńcy te tak ciekawe dla każdego konkurenta towary, a Karol bardzo je chwalił. Przybliżywszy się wszakże do czapraka wielkiej karety, lubo się mógł tego spodziewać, jednak nie pomału się zdziwił, zobaczył tam bowiem dwa herby i już połączone za sobą: jeden Izydora, a drugi szambelanówny. Spostrzegł to Izydor i spytał:

— Czy widzisz?

— Widzę — rzekł Karol — i tak rozumiem, że obaczywszy to, najlepiejbym zrobił, gdybym natychmiast nawrócił i do domu pojechał.

— O! toby nie miało sensu. Pierwej wyrok, a potem egzekucya, tak zawsze bywa. Te powozy mogą się przydać i tobie, ja ci je zaraz odstąpię. Każesz tylko na każdym z nich jeden herb zmienić, a i to nie będzie zbyt trudnem: wszakżeż twój herb, to krzyż i podkowa, moja podkowa i pół krzyża, cóż za wielka rzecz domalować jeszcze pół krzyża?

— A! — rzekł Karol, wchodząc w żart jego — jeszcze na tem nie koniec: hrabska korona i strusie pióra, to także nie moje.

— Ani za koronę, ani za strusie pióra Józia pewnie się nie pogniewa, za to ci ręczę. Ale chodźmy.

To rzekłszy, obrócił się do swego marszałka dworu i rzekł mu:

— Samowar! fajek! świec i ognia na komin do zielonego pokoju! wszystko w lot! i żeby mi potem cicho było w całym domu, jak mak siał!

Z tem poszli do zielonego pokoju; lecz ledwie

poskładali kapelusze i rękawiczki, rozkazy pańskie już były spełnione. Jeden sługa przyniósł kipiący samowar, który zapewne bez przerwy kipiał w tym domu, drugi wniósł filiżanki, trzeci przekąski, czwarty świece, piąty rozpalał ogień w kominie. Izydor sam nasypał herbaty w nalewkę, a nim naciągnęła, obadwa młodzieńcy przechadzali się w milczeniu po wielkiej komnacie, graniczącej z sypialnią.

Za małą chwilę była już cisza koło nich, jak na cmentarzu — a Izydor, wypiwszy całą filiżankę chińskiego napoju, przystąpił do Karola i tak zaczął:

— Będziemy mieli bardzo przyjemną z sobą rozmowę, mianowicie z tego powodu, że będziemy sobie prawdę mówić w oczy, rzecz nadzwyczajnie rzadka dziś na tym świecie, chociażby nawet pomiędzy braćmi. Proszę cię tedy, siadaj naprzeciw mnie i pozwól mnie wziąć inicyatywę.

To mówiąc, odsunął stół z niezapalonemi świecami, bo jeszcze słońce świeciło, przysunął dwa fotele naprzeciw sobie, w których oba usiedli, i tak mówił dalej:

— Przedewszystkiem innem tedy muszę ci w tem prawdę powiedzieć, dlaczego cię tutaj przywiozłem i dlaczego nie postąpiłem z tobą, jak się zwyczajnie postępuje z rywalem. Otóż dwa miałem powody. Najpierwszy ten, że zaraz jutrobym się powiesił, gdyby dwóch zacnych ludzi zrobiło szambelanowi tę satysfakcyę, żeby się bili o jego córkę. Takiego tryumfu za nic mu nie dopuszczę: to jest zwierzę, ssące krew z naszej spuścizny, mam sobie za najświętszy obowiązek deptać po nim, jak

tylko mogę... Drugi zaś powód jest ten, że cię kocham. Kochałem twojego ojca ze czcią świątobliwą; stary ten żołnierz, który walczył *usque ad finem* i zginął potem, jak męczennik li tylko dla swojej pochopności do walki, był moim bożkiem. Taka krew, dochowana w takiej czystości, aż do czasów dzisiejszych, to jest świętość, do której się modlić należy. Ta krew płynie i w twoich żyłach. Co z ciebie będzie, ja jeszcze nie wiem, ale wierzę w krew i nie widzę po tobie wcale, abyś się jej zapierał. Dla takiej krwi warto jest coś poświęcić, warto nawet wylać i własną krew, zwłaszcza taką, jak moja. Była ona może także niezła po ojcach, ale dziś warta nie wiele... Ja nie widzę dla niej żadnej przyszłości; nie jestem nawet pewnym, czy syn mój nie będzie ślepym, albo kosonogim lub suchotnikiem, jeżeli go skrufuły nie zabiją w kolebce. Ja zresztą sam już niewiele wart jestem. Nademną wisi miecz Damoklesa, którego ja nie potrafię odsunąć. Ja jestem z tej starej, przesądnej szlachty, która pomimo rozumu i wykształcenia, nie potrafi pójść z prądem czasu i którą przeto wiek dziewiętnasty najniezawodniej wymiecie. Takimby był i syn mój. Pocóż rozmnażać takie pokolenie nieszczęsne? — Samolubembym tedy był i w moich własnych oczach występnym, gdybym dla szczęścia takiego człowieka, jak ja, poświęcał szczęście takiego, jak ty, który jesteś zdrów na ciele i duchu i możesz się stać pożytecznym, ba! świetnym nawet członkiem tej wielkiej rodziny, którą tak wszyscy kochamy. Czy zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem zupełnie — odpowiedział mu

Karol — ale nie widzę wcale, dokąd nas może zaprowadzić taka dysputa? W najlepszym razie doprowadzi nas ona do tego, że się jeden z nas dla drugiego dobrowolnie poświęci...

— Oczywiście do tego. Czyż trzeba więcej?

— Wcale nie trzeba, ale w takim razie i dysputy nie trzeba. Czy ty przyjmiesz taką ofiarę odemnie?

— Każdy z nas przyjmie, na którego ten los wypadnie.

— No to ją masz — odpowiedział Karol porywczo — i daj Boże szczęście!

To mówiąc, chwycił już za kapelusz.

— A! ba! — zawołał Izydor na to, wyjmując mu z ręki kapelusz i sadzając go napowrót na jego miejsce — tak to nie będzie. Nie ten ustąpi, który się pierwszy z gotowością ustąpienia odezwie, ale ten, któremu chłodną rzeczy rozwagą ten obowiązek przyznamy. Spodziewam się, że się zgodzisz na to, wszakże jesteśmy ludzie rozumni. Ale żebyśmy doszli do celu, trzeba nam oczywiście wyspowiadać się obustronnie przed sobą, a mianowicie, opowiedzieć ze szczegółami, jak każdy z nas przyszedł do tego, że się w Józi zakochał. Moja historya jest krótka; zaczynaj ty, twoja dłuższa.

— Cóż tu w tem może być ciekawego?—rzekł na to Karol z niechęcią. — Jeżeli chcesz zresztą, to ci powiem, że od dnia dzisiejszego wcale się w Józi nie kocham. Odprawiła mnie ostatecznie i ja przyjąłem odprawę. Jeżeli o to idzie, to nawet nie mam żalu do niej za to tyrańskwo; musiała to zrobić, była do tego zmuszoną.

— Zmuszoną? — zapytał Izydor z ironicznem zdziwieniem —a to przez kogo?

— Przez ojca.

— Ale fe, śmiej-że się z tego. Józi nikt do niczego nie zmusi, a najmniej ojciec. Jeżeli on o tem marzy, to się myli zupełnie i zapomina o tem, że Józia ma Przewoźniki i sama jest w hipotece. Tylko to się stać może, co ona sama zechce; za to ci mogę zaręczyć.

Karol pomyślał nad tem i rzekł:

— A to w takim razie jeszcze, tem mniej mamy co mówić z sobą, bo najwidoczniej ona kocha się w tobie.

— I to nieprawda. Ona ani się we mnie kocha, ani w tobie, ale kochać się będzie w tym, który się z nią ożeni i umiejętnie ją poprowadzi. Jeżeliby się zaś już koniecznie w kimkolwiek kochać miała, to prędzej w tobie, niż we mnie; pomiędzy wami są dawne reminiscencye —ja się jej tylko podobam, może głównie dlatego, że sobie obiecuje za mną świetniejszą przyszłość, aniżeli za tobą. Główka tam dziwnie nabita ekwipażami, liberyą i salonami, czem wszystkiem ją okarmiono we Lwowie, a szkoda, bo grunt tam był wcale inny...

— Wiesz! — zawołał na to Karol, zrywając się nagle z siedzenia —wiesz, jeśli ta Józia jest choćby tylko podobną do tamtej, którą poznałem w chatce Bernata, to chyba ja ślepy zupełnie. Co się to z niej zrobiło! Bodajby przepadł na wieki ten, który tę czystą anielską duszę taką zaraził zgnilizną!

— No siadaj-no — odpowiedział mu Izydor ze spokojnym na twarzy uśmiechem—siadaj i powiedz

mi coś o tej chatce Bernata. Ja już wiem trochę o tych dwóch romansach, które się tam zawiązały, ale chciałbym się wszystkiego dowiedzieć.

— O! ta chatka Bernata! — mówił na to Karol na pół w zamyśleniu — ile tam szczęścia mieszkało niegdyś pomiędzy temi ubożuchnemi ściankami! Jaka to była ta Józia, który mi tam pielęgnowała moją ranę na głowie, herbatki sporządzała co rano, opowiadała o tym przewoźnickim pałacu, w którym jej było tak zimno, cieszyła się Zawisłoczem, które sobie wyobrażała tak ciepło! Oh! jaka to Józia była natenczas! — A cóż się to z niej teraz zrobiło! Zimna, wyrachowana kobieta, marząca o ekwipażach i salonowych tryumfach, depcąca najpiękniejsze uczucia, jak kwiaty zwiędłe, lekkomyślnemi nogami, odtrącająca kamienną ręką tego od siebie, któremu dopiero wczoraj dozgonną przysięgła miłość! i odtrącająca go tak nielitościwie dlatego, że jest ktoś drugi, który ma o dwie gałki więcej w koronie, o dwa powozy więcej w wozowni, o dwa pokoje więcej w swym domu! Oh! Izydorze! tak się oszukać, z takiego nieba być wyrzuconym w taką plugawą kałużę, to nie ziemska jest rzecz, to jest paszcza piekielna!

Ostatnie te słowa mówił Karol ze łzami, a zaledwie je skończył, w głos się jak dziecko rozpłakał. I płakał tak bez ustanku, chodząc chwiejącemi się krokami po komnacie i drgając spazmatycznie na całem ciele.

Izydor milczał, lecz przypatrywał mu się z pilną uwagą.

Za małą chwilę uspokoił się Karol cokolwiek,

ale z dziwnie zmieszaną twarzą do Izydora przystąpił i mówił dalej:

— Ale wiesz, niechaj kto mówi co chce, jest przecież coś osobliwego w tej zagadkowej kobiecie. Jakiś demon tam siedzi, anioł, czy szatan, sam nie wiem, ale jakiś duch zawsze z szatańską siłą atrakcyi. Cóż powiesz na to? Ja ją dziś widzę jak najzdrowszemi oczyma, widzę w niej wszystko złe, jakby na dłoni, widzę, że przecież o wiele lepszej wart jestem żony, widzę, że kto wie nawet, czyby to dla mnie nie było największem nieszczęściem, gdybym się z nią ożenił — a przecież... ale nie! nigdybym tego nie zrobił, choćby tam ciebie nawet nie było! Nigdy i nigdy! Życie moje, zdrowie, najżmudniejszą pracę do grobu, dam dla kobiety, którąby mnie kochała — ale mnie, mnie samego, nie moje powozy, konie lub stanowisko pomiędzy ludźmi! Dla takiej nic—i żebym na to chorował przez całe życie, gdybym nawet wiedział, że umrę, jeśli się z nią nie ożenię: to jeszcze nie! jeszczebym się z nią nie ożenił! — Rękę moją zawsze jej podam, jeżeli jej kiedy zapotrzebuje, czuję to, że gotówbym był zrobić dla niej każdą ofiarę, ale ofiary z siebie samego...

Tu umilkł, odwrócił się i dodał znowu ze łzami:

— Och! co mnie ta kobieta kosztuje, to tylko Bogu jednemu wiadomo!

Poczem przechadzał się po komnacie, zaledwie na pół przytomny.

Izydor przypatrywał mu się jeszcze zawsze z uwagą, ale już teraz całkiem inny był wyraz na

jego twarzy. Wyglądał tak, jak gdyby zrobił komuś coś dobrego i czuł w swem sercu owo błogie zadowolenie, będące najwyższą i najczystszą rozkoszą człowieka. Jakoż zdawało się rzeczą pewną, że w tej chwili powziął już jakieś postanowienie, zapewne dla Karola korzystne. Z wesołym uśmiechem na twarzy rzekł do niego:

— Siadaj-no tu koło mnie.

A gdy Karol siadł, tak mówił:

— Nic rozumniejszego nie mogło się stać, jak to, żeśmy tu przyjechali. Bo co też za głupstwo solenne byłbym ja zrobił, że nie wspomnę o tych, które już porobiłem. Umeblować dom, posprowadzać powozy... a czy to nie jest to samo, co łowić ryby przed niewodem? Ale to tak zawsze jest ze mną. Niech mnie się kto spyta, jak ma postąpić w tym albo owym wypadku, ja mu z pewnością doskonale poradzę; ale to, co ja sam zrobię dla siebie, jest zawsze największą niedorzecznością. Niepraktyczność! śmiertelny grzech w czasach dzisiejszych! Dawnemi czasy można było żyć z takim grzechem Bóg wie jak długo i nawet być wielkim człowiek, ale w dziewiętnastym wieku się na to umiera. I mnie też ta śmierć nie minie, jak Bóg na niebie...

Karol tego wszystkiego słuchał, ale zaledwie w połowie rozumiał. Utkwiły mu tylko w pamięci umeblowanie i sprowadzenie powozów, jakoż rzekł na to:

— A ja nie widzę wcale, coby w tem było nierozsądnego, żeś się naprzód wyekwipował. Mogłeś przecie być pewnym, że jak się tylko odezwiesz

o rękę Józi, to ci jej nikt nie odmówi. Gdyby było konkurentów piętnastu, to i toby ci nic nie szkodziło, zwłaszcza, że Józię już zapewne poznałeś i wiedziałeś o tem, że na twoje zgłoszenie się gotowa porzucić nawet i tego któregoby do szaleństwa kochała..

Uśmiechnął się na to Izydor i rzekł:

— A widzę żółci w tobie wcale nie braknie! Nie spodziewałem się tego po tobie, chociaż się mogłem spodziewać, bo najpierw, przesiedziałeś się dwa lata w kozie, a powtóre, Józia cię obraziła. Ale jakkolwiekbądź, muszę ci to dobitnie powiedzić, że ty na Józię z najfałszywszego zapatrujesz się punktu. Ty nie znasz kobiet wogóle, a co gorsza, ty nie znasz nawet i Józi. Czy wiesz, co to kobieta? Kobieta jest to stworzenie bierne nawskróś — kobieta nie jest sama w sobie jednostką — kobieta jest tylko dopełnieniem mężczyzny i dopiero z nim połączona stanowi całość. Kobieta jest tylko tem, czem ją uczyni mężczyzna; mężczyzna jest za wszystko odpowiedzialnym, za nic kobieta. *Toute folie de la femme est une sottise de l'homme* — powiedziano już dawno i doskonale. Ja kiedy widzę występną kobietę, to ją żałuję, ale się brzydzę jej mężem. I nawzajem, kiedy widzę cnotliwą, zawsze mam poszanowanie dla męża,. choć go w takim razie dwa razy tyle mam dla niej. O! zmiłujcie się, tylko mi kobiet tak surowo nie sądźcie! To są anioły, które się zabłąkały na ziemię przez całe swe życie po tej obcej dla siebie krainie, jak po ciemnicy — żadna z nich nie potrafi się obejść bez przewodnika — azliż winna z nich która, jeżeli dostała za przewodnika głupca

albo szatana? — A czemże jest panna? Panna jest pączkiem, który sam jeszcze nie wie o swych kolorach, jest wyzłoconem zewnętrznie naczyniem, w które w najlepszym razie nakładziono i tych i owych co najpokupniejszych towarów bez ładu; jest gąsienicą śpiącą, na pół martwą moralnie, z której dopiero kiedyś ma wylecieć ten piękny motyl, kobieta. I czegóż ty możesz wymagać po takiem śpiącem stworzeńku? Tu ją podnoszą ku niebu jakieś półświęte natchnienia, natchnienia, których nie pojmie żaden poeta, tam ciągnie ją jakieś uczucie do jakiegoś młodzieńca, tu ją olśniewa blask imienia, majątku, szczęścia, tam jej imponuje światłość wysokiej cnoty albo potęga rozumu — sama nie wie, gdzie iść, tak ją to wszystko rozrywa, ona, która dopiero wczoraj, półsenne otworzyła na świat oczęta — a tu tymczasem huczą nad jej głową ojciec i matka, dziadek, babka, stryj, ciotka, guwernantki, przyjaciółki, sąsiedzi, a każde huczy innym sposobem, każde jej prawi co innego, każde ją ciągnie gdzieindziej.— Ah! daj ty mi pokój! Gdybym ja był panną, ja, który mam rozum męzki, trzeźwy i doświadczony, jeżelibym nie zwaryował w pół roku, byłby to cud prawdziwy od Pana Boga!

Po chwili mówił Izydor dalej:

— Dajże ty pokój i Józi. Co ona winna? Że się tam to i owo nie zupełnie potrzebne zakradło w umysł i serce, tego przed tobą nie taję. Przy takim ojcu i bracie, przy takiej ciotce, którąbym mógł prosto odesłać do domu poprawy, przy takiem zresztą otoczeniu, w jakie ją wprowadzono we Lwowie, jak ty chcesz nawet, aby pierwotna przezro-

czystość jej duszy nie została troszeczkę przyćmioną. Ale to przyćmienie jest tylko leciutkim pyłkiem, który osiadł na brylantowej bryle jej serca. Przyjdzie mąż, raz tylko dmuchnie — i wszystko to zginie bez śladu.

Nawzajem teraz znów Karol przypatrywał się z wielką uwagą Izydorowi, a lubo młody i wcale jeszcze niedoświadczony, przecież nie mógł tego nie widzieć, że tylko głęboka miłość, połączona z równie głęboką zacnością duszy, mogła się tak zapatrywać na Józię, zwłaszcza nie znając jej wcale, jaką była w samej istocie przed dwoma laty. Słowa te nadzwyczajnie rozrzewniły Karola — a tymczasem Izydor mówił dalej:

— I będziesz widział, co się to zrobi z tej Józi, zwłaszcza jeżeli dostanie odpowiedniego męża. Ale niema się co o to obawiać, ja nie znam lepszego męża dla niej od ciebie...

— Ja znam, bo jestem pewnym, że jej przyszłość będzie daleko bezpieczniejszą pod opieką twoją.

— Fi...—mówił na to Izydor — to jest bardzo wątpliwe... Są może we mnie niektóre rzeczy, któremi w tej chwili ciebie przenoszę, może cokolwiek więcej mam doświadczenia; ale są znowu rzeczy do szczęścia małżeńskiego niezbędne, o których nie chcę wspominać, a których mnie może brakuje. To wszakże wspomnę, że ja nie bardzo zdrów jestem. Piersi mnie bolą, czasem mnie jakaś ospałość obejmuje, czasem hipochondryczne miewam napady, wszystko to znaki bardzo nie dobre. Ja mam sumienie, które wprawdzie Józia swoją postacią we

mnie uśpiła, ale tyś je obudził nanowo, za co ci bardzo dziękuję...

— Ot! gadasz sobie. Ja nie znam człowieka zdrowszego od ciebie. Ja sam dziękowałbym Bogu, gdybym był w stanie to wytrzymać, co ty wytrzymujesz

— Otóż to jest, że się wytrzymało za wiele. Bagatela! Trzeba było być wszędzie i ze mną i we mnie, ażeby temu uwierzyć, co się już wytrzymało. Jakoż doprawdy, że te nogi jeszcze tak czuję; ja sam ledwie wierzę, kiedy o tem pomyślę, gdziem nie był, przez com nie przeszedł i czegom już nie przecierpiał!

Tu się Izydor zamyślił i trwała chwila milczenia. Ale niebawem się zbudził, nadzwyczaj zajęty i ożywiony i tak mówił:

— Ale wróćmy do Józi. Wiesz co, ty bardzo dobrze powiadasz, że tam w niej jest jakiś demon ukryty. To w samej rzeczy jest wcale niecodzienna kobieta. Ja już niejednę piękną kobietę widziałem, bardzo piękną, a nie pamiętam, żeby która takie na mnie sprawiła wrażenie, jak ona. Ja ją poraz pierwszy ujrzałem tego roku we Lwowie. Zastałem ją w salonie Millefleurs i zastałem ją w otoczeniu najgorszem. Kobiety, które się w takiem towarzystwie spotyka, nie robią nigdy na mnie wrażenia: to są sprzęciki, ten się bierze, tamten się mija. Ale kiedy ją tam ujrzałem, pomimo to, że tam ją ujrzałem, zaraz za pierwszym rzutem oka obudziło się we mnie jakoby jakieś zdziwienie: a cóż ta tutaj robi?— spytałem, kto to jest, poznałem ją, pomówiłem kwadransik — i miałem dosyć.

Śmiej ty się ze mnie, jeśli ci się będzie podobało, ale ja ci przecież to powien, że jak na dwadzieścia pięć kul, które biję kula na kulę, o głowę moją idę, że najwięcej dwie pójdą mi w blachę — tak na dwudziestu pięciu ludzi, których obejrzę i z którymi się wedle woli rozmówię, także pewnie nie więcej, jak na dwóch się omylę. Ale nie dziw się temu, bo to jest najprostsza rzecz: zdrowy sens w głowie i wprawa. A ja już lat kilkanaście się poniewieram po świecie i nic innego nie robię, tylko czytam te książki, które chodzą na nogach. Może wprawny literat za kilka minut dowiedzieć się od niemej książki, która niema oczów i twarzy i nie odpowiada mu na pytania, czego się po niej może spodziewać; może również do takiej samej wprawy doprowadzić i znawca ludzi. Oto ja Józię przeczytałem odrazu i daję ci słowo na to, żem się ani o jeden cień nie omylił; prześliczna rzecz, którą opylono cokolwiek — wiedziałem o tem w pierwszym momencie. A że mi to stworzenie okazało się nadzwyczajnie sympatycznem i dziwnie mnie ku sobie porwało, więc zacząłem chodzić koło niej. Ja się z takiemi rzeczami nigdy długo nie bawię, bo i niema się z tem co bawić; co się nie zrobi w trzech dniach, to się nigdy nie zrobi, trzeba tylko mieć pewną decyzyę i puszczać odrazu „na wiatr!“ — Jakoż wistocie, po trzech wieczorach spędzonych razem, już mi więcej nie było potrzeba. Nie powiadam tutaj, *notez bien*, żeby mi się Józia do czego przyznała, ale już wiedziałem wtedy na pewno, co być może, a co nie może. Tymczasem nadszedł ten wieczór u Millefleurs, na który ciebie przyprowadziłem. Przybliżyłem się wte-

dy do Józi, dziwna rzecz! tak mnie czegoś odtrąciła, tak nagle i tak nawet szorstko, że mnie to oburzyło, żem skipiał, jak woda w garnku. To mnie nawet tak rozgniewało, żem porwał zaraz tego Niemca za kark, któregom potem zrąbał nazajutrz. Biedny niemczyna, nie będzie wiedział do śmierci, za co został tak haniebnie pociętym...

— No, ale mówiąc prawdę—rzekł na to Karol— kiedy już tylko samą prawdę dzisiaj mówimy, to ten Niemiec coś tam na mnie powiedział?

— Coś tam powiedział, już nie pamiętam, ale zapewne, że coś musiał powiedzieć, bo inaczej przecież nie byłbym go się uczepił... Wracam do rzeczy. Dlaczego mnie Józia wtedy tak nagle odtrąciła od siebie, dzisiaj już wiem—ciebie zobaczyła i przypomniała jej się chatka Bernata—alem wtedy tego nie wiedział i powiadam ci, żem taką noc przespał, a raczej przeczuwał, jakiej dawno już nie pamiętam... Coś dziwnego jest w tej kobiecie!...

Tu się Izydor znowu trochę zamyślił, poczem mówił dalej:

— Cokolwiekbądź, mała ta rzecz trochę nas oddaliła od siebie. Gdybyś ty był dnia tego nie przyszedł do Millefleurs, do dnia dzisiejszego Józia byłaby już dawno panią na Grzymalinie, bo to już wtedy tak było, żem się miał zaraz oświadczyć i nawet już dniem przedtem napisałem był do Wiednia do Brandmajera, aby przygotował dla mnie powozy. Ale ta mała scenka oziębiła mnie trochę i jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczegom tu na wsi rozwlókł tę rzecz tak na długo, że szambelan aż ciebie sprowadził na mnie, aby mnie tobą zastraszyć, to

wszystko tylko dlatego, iżem wiedział, że to ówczesne odtrącenie mnie przez Józię, odtrącenie, takie serdeczne, nie mogło być bez powodu, a ten powód nie był mi wcale wiadomym. I jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to ten powód nie był mi wiadomym aż do dnia dzisiejszego. Oh! nie byłoby się to ukryło przedemną! Chociaż Józia tak cię maltretowała widocznie i chociaż ty byłeś tak powściągliwym, byłbym ja z waszych twarzy wszystko wyczytał. Ale co się stało? zatumaniło mnie to, iżem wiedział o tem, że cię szambelan ściągnął do swego domu umyślnie i umyślnie na to, ażeby zniewolić mnie do przyśpieszenia oświadczeń. To mnie całkiem zbałamuciło i odwróciło uwagę od ciebie. Że ci się Józia podobała, że się w niej kochasz, to było dla mnie jasnem, jak dzień, ale to mnie najmniej obchodziło, chociaż rzecz pewna, że jako przyjaciela, byłbym cię i tak ostrzegł niebawem, ale tylko ostrzegł, nic więcej. Mnie bowiem nie o tego chodziło, który się w niej kocha po mnie lub razem ze mną, ale o tego, kto się w niej kochał przedemną, a mianowicie, w kim się ona kochała i jeszcze kocha, co było także rzeczą dla mnie nie tajną. No, ale omamienie to względem ciebie, w jakie mnie szambelan wprowadził, nie trwało długo: wczoraj się dowiedziałem o tem od przewoźników, co mnie mogło obchodzić, a dziś was znalazłem na wyspie... To jest ta cała historya — skończył nareszcie hrabia, wysuwając się na brzeg krzesła— obustronne wyznania są, a teraz już i o wyrok nie trudno. Jakież tedy są dane, na których wyrok oprzemy? Oto najpierw, tyś się zakochał w Józi

przedemną, powtóre ona się w tobie kochała, a co ważniejsza, kocha jeszcze do dziś dnia...

—Otl pleciesz, Bóg nie wie co—powiedział Karol prawie z goryczą.

— Tylko prawdę. Potrzecie, ty się w niej kochasz...

— Ani mi się śni.

— Poczwarte, ona popełniła wprawdzie grzeszek przeciwko tobie, że pomimo miłości dla ciebie, zawiązała maleńką intryżkę ze mną; ale czyż to jest grzeszek śmiertelny, albo nawet nieodpuszczony? podobało jej się z namowy ojca i ciotki moje jakieś tam imię, moje jakieś tam niby relacye, moje powozy, konie, folwarki; ale jak ciebie kocham, to już niejednej się podobało. Niema o czem mówić. Konsenkwencya ztąd taka, że Józia się tobie należy i musi być twoją — a mnie się nie należy i nawet nigdy nie może być moją. Kobieta, która-by poszła za mnie nie dla mnie, tylko dla mojego imienia i moich folwarków, nigdy moją żoną nie będzie!

Te ostatnie słowa powiedział Izydor nadzwyczajnie dobitnie i zasunął się na powrót w głąb krzesła. Palił on w tej chwili lulkę z przepysznego bursztyna, który sobie sam wywiózł ze wschodu i miał na głowie fez ponsowy z szafirowym kutasem—ale jak ten fez był dziwnie pomięty i przytłoczony na jeden bok głowy, tak i tę lulkę palił z takiem roztargnieniem, że ciągnął z niej dym bez pamięci i tak gęstemi okrył się obłokami, że Karol, który wciąż patrzał na niego, prawie go całkiem nie widział. Po długiej ohwili dopiero, kiedy dym zwolna uniósł się w górę, a w lulce go więcej nie

stało, wystąpiła twarz Izydora ku światłu. Ale jakżeż ta twarz była w tej chwili zmienioną! Blada zazwyczaj, teraz była ona bledszą niż kiedykolwiek. I jeżeli to nie był refleks od zielonych tapetów, to obciągnęła się nawet troszeczkę zielonawym kolorem. Przytem miał brwi dziwnie jakoś ściągnięte i nastroszone; około ust, tak zawsze uśmiechnionych łagodnie, teraz jakaś żółciowa osiadła gorycz, a w oczach jego przyćmionych i jak gdyby osłupiałych cokolwiek, tyle się odbijało ciężkiego smutku, tyle boleści, że litość brała patrzeć na niego. Nie potrzeba było być wprawnym fizyonomistą, ażeby za jednym rzutem oka rozpoznać, że człowiek ten musi cierpieć okropnie, że cierpienie to opanowuje go całkiem, że się chwilami w ból zamienia piekielny, że prawie graniczy z rozpaczą. Widział Karol tę boleść, odgadywał jej powód i unosił się najrzewniejszem, chociaż milczącem współczuciem...

Izydor zaś tymczasem zmiął jeszcze raz czapkę na głowie, drgnął przy tem tak boleśnie, jak gdyby go żmija ujadła, i zaczął mówić — a mówił głosem drewnianym, jakby półmartwym i nawet trochę ochrypłym:

— Ale patrz! Otóż to takie szczęście ja mam przez całe życie! Ja, który tak wysoko, tak idealnie cenię kobiety, który im wyższość bezwzględną przyznaję nad nami, którybym niebo chciał zrobić dla nich na ziemi i zrobiłbym pewnie dla tej, któraby się mnie powierzyła i wstąpiła w me progi: ja... jeszcze nigdy nie spotkałem ani jednej kobiety, którąby mnie nie zniewoliła do tego, ażebym rzu-

cił na cały ród ten przekleństwo i moje oczy na zawsze odwrócił od niego. Nie uczyniłem tego, patrzę tak na nich do dnia dzisiejszego, jak gdybym lat miał piętnaście, sobie to przypisuję, żem trafiał tak nieszczęśliwie — oh! ale inaczej mówiło-by serce, gdybym go w kleszczach nie trzymał moim rozumem!... Posłuchaj tylko — mówił Izydor dalej — i płacz nademną, jeżeli możesz mieć łzy dla takich ludzi. Wiotkim młodzieńcem jeszcze, kiedym stąpał po ziemi oskrzydlonemi nogami, kiedy świat cały stał w pełnym kwiecie przedemną, kiedym tak szukał skwapliwie ludzkiego serca, z którembym się mógł mojem szczęściem podzielić, znalazłem kobietę, która mnie z demonicznym zapałem pociągnęła ku sobie. Upadłem przed nią ze skruszonem sercem na klęczki, ziemia mi zniknęła z przed oczu, niebo się otworzyło przedemną. Myślałem wtedy: choć-by i zginąć, takie nadziemskie szczęście kupić za cenę życia, to bezcen. Ale po kilku miesiącach, jakżem się straszliwie przebudził! com wtedy ujrzał, nie potrzebuję ci mówić. Kobieta ta była to najzwyklejsza ludożerczyni, która mnie jadła... jak „beef-steak". Padłem bez zmysłów na ziemię, uciekłem... Przez kilka lat potem anim mógł spojrzeć na kobiety! Dziwne o nich miałem wyobrażenie. Słuchałem kursów historyi, heraldyki, anatomii i weterynaryi w Paryżu, bywałem po wielkich salonach i małych, gdzie mnie kobiety niesłychanie nudziły—ale bawiły mnie za to w *Jardin d'hiver*, tak jak mnie bawił *Jardin des plantes*, gdziem widział lwy i hieny. Po kilku leciech powróciłem do kraju, gdziem znowu znalazł kobietę, która mnie dziwnie pocią-

gnęła ku sobie. Zbliżyłem się z sercem takiem otwartem, że mógłbym był w niem cały system słoneczny pomieścić—jużem się ze światem pogodził. Bogu dziękowałem za szczęście — o egzystencyi takiego anioła na ziemi nie miałem ani pojęcia. Ale znowu nie długo trwało to szczęście. W kilka tygodni bowiem powrócił dawny amant z prowincyi, przyleciał do mnie rozczochrany i blady, rzucił się na kolana przedemną: Panie! miej zlitowanie nademną! byłem więc tylko tym, z którym grano w piłkę przez ferye. Uśmiechnąłem się tylko z goryczą, uszczęśliwiłem kochającą się parę moim wyjazdem i zamknąłem się na wsi... Bóg wie, jak długo tutaj siedziałem. Ale przyszedł czas na mnie, w którym mi zaczęło być tęskno samemu: widok męża, prowadzącego wesołą uśmiechnioną żonę pod ramię, widok cichego domku, gdzie dwoje serc ludzkich chwali Pana Boga swoją miłością, widok małego dzieciątka szczebioczącego prześlicznie i tulącego się do kolan rodziców, napełniał mnie jakąś niewymowną czułością, a zarazem obudził we mnie dziwnie niepokojącą tęsknotę. Boże—myślałem sobie—tyle tu szczęścia jest na tej ziemi, tak ono proste, tak tanie i tak zresztą konieczne — a ja się błąkam samotny jak wielbłąd, widzę tylko wyschniętą, piaszczystą, bezludną puszczę przed sobą! czyż na tym świecie, na którym wszyscy tak żyją gromadnie, gdzie najwyższem szczęściem jest właśnie udział wzajemny, czyż na tym świecie ja tylko jeden będę się błąkał samotny i tylko ja jeden nie znajdę nigdy nikogo, z którymbym się mógł życiem mojem podzielić? O! przecież się żenią ślepi, kulawi, gar-

baci i najubożsi, *chacun trouve sa chacune*, dla czegożbym ja nie miał jej znaleźć?—postanowiłem tedy poprostu, żony sobie poszukać; ale mając już takie doświadczenia za sobą, postanowiłem zarazem nie szukać jej sercem, ale rozumem. Jaki był skutek takiej kwerendy, nie trudno ci zgadnąć ztąd, żem w samej rzeczy żadnej nie znalazł. Żona to nie jest węgiel kamienny... Tak znowu minęły lata. Znudzony wreszcie tem szukaniem daremnem, zacząłem pomału uczuwać niemałą zmianę w mojem usposobieniu. Tak zawsze dotąd swobodny, wesół i zawsze gotów do tego, co mi przyniosła fantazya zacząłem uczuwać coraz częściej czczość, jakąś ospałość, a często tak dziwną tesknotę, że nie umiałem jej nadać nazwiska. Co gorsza, niejednokrotnie nachodziły mnie chwile hipochondryi tak gorzkiej, że wtedy mógłbym się był napić trucizny, czasem obejmowała mnie nawet rozpacz tak czarna, że prawie mi przychodziły na myśl jakieś heroizmy pogańskie. Ale znałem ja dobrze tego wszystkiego przyczynę. Jakoż natenczas postanowiłem sobie, spuścić troszeczkę z dawnego tonu: nio koniecznie dziewięć punktów w koronie, nie koniecznie tyle a tyle posagu i nie koniecznie lat siedmnaście; co większa, nie koniecznie taki a taki umysł, takie a takie serce, jakiem sobie z góry przeznaczył. Przez długi czas i to mi nie pomagało... Przecież nareszcie pomogło. Przyjechałem tej zimy do Lwowa i obaczyłem tam Józię. Zamknąwszy oczy na to i owo, trudno zaprzeczyć, żem znalazł w niej jeszcze daleko więcej, niżelim teraz sam już wymagał. Z jakim zapałem chwyciłem się tej ostatniej gwiazdeczki, ja, stojący

pod niebem, na którem już wszystkie gwiazdy pogasły, nie potrzebuję powiadać. I jak byłem już pewny mego zbawienia, jak pewny... świadczą te nowe sprzęty w mym domu, te sprowadzone powozy. I nie byłby każdy na mojem miejscu postąpił sobie tak samo? Czy można tu było wątpić, że Bóg się ulitował nademną i wyswobodził nareszcie z niewoli?... Ale patrz, co tu znowu się stało! — dodał Izydor z twarzą jeszcze bardziej zmienioną. — Ah! niech przepadnie!—zawołał, porywając się z krzesła i podnosząc obiedwie ręce do góry—niechaj się ziemia rozstąpi pod takim przeklętym człowiekiem, który nawet jednego serca znaleźć nie może dla siebie!...

To wymówiwszy głosem rozdzierającym i prawie łzami zalanym, uderzył jednocześnie lulką o ziemię, że się rozbryzgnęła w kawałki—i wybiegł prędko do przyległego pokoju.

Właśnie się wtedy zmierzchało.

Karol tak uczuł głęboko tę boleść gwałtowną tego nieszczęśliwego człowieka, że go na chwilę odstąpiła przytomność. Łzy mu stanęły w oczach i skrzepły, i przez te łzy patrzał we drzwi otwarte, w których zniknął jego przyjaciel. Oparł się o poręcz krzesła i stał tak pochylony przez chwilę. Ale niebawem się zbudził, wziął cichutko kapelusz, rzucił wzrok pożegnawczy za Izydorem i wyszedł na palcach do sieni.

Przez całą prawie godzinę 'Izydor nie powracał. Musiał zapewne cierpieć okropnie, wstydził się tego cierpienia i dlatego nie chciał się pokazywać przyjacielowi. Po godzinie dopiero wrócił, blady

jak śmierć, ale już całkiem spokojny. Przyszedł ze świecą jarzącą w ręku i zapalił od niej cały siedmio-ramienny świecznik, który stał przygotowany na stole. Ani mu się śniło natenczas, że był sam tylko w komnacie. Dopiero rozejrzawszy się przy tem świetle, jakże się zdziwił, kiedy nie ujrzał Karola. Wybiegł w ten moment do sieni:

— A gdzie pan Karol?

— Jeszcze o zmroku odjechał.

Zdziwił się tem jeszcze więcej—a kiedy do zielonego pokoju powrócił, zaczął się przechadzać powolnemi krokami i bardzo był zamyślony. Jednak to trwało niedługo, wkrótce bowiem uderzyła go myśl, która mu się musiała nasunąć. Karol został jego spowiedzią porwany, ulitował się nad nim i wyjechał z postanowieniem odstąpienia mu Józi na zawsze. Co większa, on się zerwał tak nagle niezawodnie dla tego, ażeby zaraz jutro jeszcze, dziś może, gdzieś za granicę wyjechać! Taki postępek był bardzo do niego podobnym, odpowiadał on jego szlachetności i jego wygórowanej ambicyi, doskonale Izydorowi znajomej — a ponieważ właśnie przed kilku dniami odebrał pożyczkę Towarzystwa kredytowego, więc mu do tej podróży nie mogło nawet nic stanąć na przeszkodzie. Myśl ta podpaliła Izydora jak ogniem.

— A ba! — zawołał prędko do siebie — na takiej drodze ty ze mną nie wygrasz!

To mówiąc, wybiegł znów prędko do sieni i krzyknął do ludzi:

— Hej! niech mi siodłają „Sovereigna“, a John niechaj siada na „Sweeting“!

W niedługiej chwili przyprowadzono konie przed ganek.

„Sovereing“ był to ogier przepyszny, krwi pełnej angielskiej, którego Izydor z końcem przeszłego roku sam przyprowadził z Anglii. Zapłacił on za niego cenę bardzo wysoką; ale zwierzę tego rodzaju jest prawie bezcenne. Jakoż istotnie, dość było tylko raz rzucić okiem uważnem na tego konia, ażeby być przekonanym że Izydor wcale nie ulegał tej ślepej manii koniarskiej, która idąc tylko za modą, a nie znając się wcale na rzeczy, sprowadza same wybiórki z Anglii i dziwi się potem, że produkuje z nich zwierzęta liche i najczęściej kaleki — ale że był amatorem serdecznym a co ważniejsza, znawcą gruntownym i niezawodnie jednym z tych ludzi, którzy w tej arcy-ważnej gałęzi rolniczego przemysłu są w stanie rzeczywiste położyć zasługi. Koń ten bowiem łączył w sobie te wszystkie przymioty, które najwyższą doskonałość stanowią a które razem, niestety, tak rzadko się napotyka. Duży był, mierzył z pewnością sześćdziesiąt sześć cali jeśli nie więcej, maści karej jak galka bez najmniejszej odmiany i tego włosa krótkiego, lśniącego metalowym połyskiem, który daleko lepiej świadczy o wysokości krwi, niż rodowody pisane. Wyniosłość jego, związanie szyi, jej wspaniale zagięcie, było prawie bajecznem, z którego-to powodu, mianowicie przy łbie suchym, oku pełnem, otwartem i chrapie rozdartej, co do piękności mógł śmiało się mierzyć z wyborowemi egzemplarzami pustyń arabskich, z których sam także przez swoich dalekich dziadków bezwątpienia pochodził. Lecz co ważniejsza, cała bu-

dowa tego wspaniałego zwierzęcia była zadziwiająca: każda tam partya była olbrzymią, a nawet silną do tego stopnia, że wzięta na oko w odosobnnieniu, zdawała się prawie przesadną — a przecież wszystkie te partye razem stanowiły całość tak harmonijną i piękną, że trudno było oka od niej oderwać. Tak zbudowany korpus był osadzony na silnych, a wcale nie długich nogach, po których nietylko to było widać, że stoją jak słupy żelazne, ale się czuło zarazem, że kiedy ruszą, to tam łopatka będzie chodzić jak skrzydło sokoła, a cała ta wielocentnarowa machina będzie płynąć tak lekko, jak łódka. Patrząc na tego konia, można było Izydorowi z całego serca pozazdrościć jego doświadczonego znawstwa—a wtedy też innem zupełnie okiem trzeba było spojrzeć na ową wspaniałą stajnię i ujeżdżalnię, zbudowane z tak wielką starannością i kosztem...

„Sweeting“ była to klacz złotogniada, mniejsza cokolwiek i subtelniejsza w budowie, ale prześliczna, prawdziwa Lubka. Pochodziła ona z ojca araba, a matki angielki—produkty takie nigdy nie mylą, dorównywają one prawie zawsze pięknością swym ojcom, a przenoszą ich często o wiele wielkością i potęgą budowy—jeżeli tylko krzyżowaniu takiemu towarzyszyło w doborze rodziców prawdziwe znawstwo.

Kiedy się Izydor zbliżył do swego konia i położył rękę na siodle, wspaniały „Sovereign“ podniósł głowę do góry i stanął przodem prawie tak prosto jak człowiek, poczem się śmiało rozejrzał, jak gdyby do walki z sobą cały ten świat chciał wyzy-

wać, który leżał przed jego oczyma i parsknął z całej siły nozdrzami. Izydor w oka mgnieniu już siedział na siodle i patrząc w twarz pełną księżyca, który całemi garściami rozrzucał swe srebrne światła po ziami, ruszył stępa z dziedzińca. Ale jak tylko za bramę wyjechał, ruszył kłusem. Wiadomo znawcom, co to jest kłus wyciągnięty takiego konia; nic w tem nie będzie przesadzonego jeśli powiemy, że się równa zupełnie pośpiesznemu biegowi niemieckiej lokomotywy. Z taką też samą szybkością sunął Izydor teraz przez pola, a były chwile, w których unosząc się w lekko falistej linii nad ziemią, sam prawie nie wiedział, czy stoi na jednem miejscu, a ziemia się z pod nóg jego z szybkością błyskawicy usuwa, czy ziemia stoi na miejscu a jego niosą jakieś siły piekielne — Cokolwiekbądź, za kilkanaście minut był on już u Starego Przewozu.

Lecz przyjechawszy na brzeg Wisłoki, nagle się zastanowił, a twarz jego odmalowała na swej powierzchni wyraz osobliwszego zdziwienia. Wspomnieliśmy już nawiasowo powyżej, że nocą przedtem zerwały się były w Beskidach gwałtowne burze, a nawet tutaj spadła rzęsista ulewa; ta musiała być jeszcze daleko rzęsistszą w górach, albowiem teraz Wisłoka szumiała tak gwałtownemi bałwany, że aż piana na nich stawała, a zataczana coraz bardziej szalonym, a coraz mniej regularnym prądem, całemi warstwami osiadała na brzegach.

Przypatrzywszy się hrabia temu igrzysku, zwrócił się do swego dżokeja i rzekł:

— Zawołaj-no mi tu przewoźników.

John, zrodzony Niemiec, Brandenburczyk podo-

bno, a udający Anglika, właśnie ów nielitościwy rywal Antka rybaka, już kiedy pan jego skręcał do Starego Przewozu, okrył się prawie śmiertelną bladością. Teraz, gdy dostał rozkaz wejścia do chaty swego głównego wroga, skostniał na siodle jak trup. Poznał on się już bowiem z potężną garścią tego polskiego chłopa, który pomimo jego nożowej obrony, byłby go pewnie zadusił, gdyby szczęśliwy przypadek nie był nadniósł Karola; zdawało mu się tedy, że wleźć teraz do chaty takiego dusiciela, to śmierć pewniuteńka. Jakoż ani się ruszył, choćby był miał i miejsce, a nawet i miłość Basi utracić... Ale na jego szczęście usłyszano już w chacie tętent przejezdnych koni, a stary Bernat właśnie co wyszedł w obejście, aby obaczyć, azali kto nie potrzebuje jego pomocy. Ujrzawszy jeźdźców, zbliżył się do nich — poznawszy najpierw owo dyable niemieckie, które jego synowi tyle przyniosło zgryzoty, nie pomału się zdziwił i zrobił krzyż święty na piersiach — ale w moment poznał i Izydora i przystąpił do niego.

— Słuchaj-no stary — rzekł hrabia, zwracając konia ku niemu — a jak ja się dostanę na tamtę stronę?

— Jaśnie wielmożny panie! niema na to sposobu...

— Ot! pleciesz sobie. Przecież tu jechał niedawno pan z Zawisłocza...

— Ej! jechał, panie!—rzekł na to Bernat zgryźliwie—taj jakoś za Bożą łaską przejechał, ale niechaj Bóg broni każdego od takiej jazdy. To, jaśnie panie, jeno łby koniom było widać z wody, bałwa-

ny waliły przez powóz i wszystko się tam tak chwiało, że ja jenom już mówił: „Kto się w opiekę“. Może go też tylko modlitwa moja uratowała, bo jakem żyw, jaśnie panie, od pięćdziesięciu lat jeszcze tu nikt takiej wody nie zbrodził. A było to jeszcze o samym zmierzchu — a gdzie to tamtej wodzie do teraźniejszej? Niema tu, jaśnie panie, sposobu; do jutra koło południa nikt się nie dostanie na tamtą stronę.

— E! co mi gadasz! a cóż to, promu nie masz żadnego?

— A niema, panie—ale gdyby i był, toby się na nic nie przydał, nigdyśmy i na promie nie wozili przy takiej wodzie. Patrz-no jegomość, jak to tam rwie samym środkiem; żeby tam wieżę ciosową postawił, toby nie wytrzymała.

— No to czółno masz jakieś, przecież się czółno prześlizgnie.

— Jaśnie panie! czółno teraz to śmierć.

— Ej! stary Bernacie, jużeś się widzę nie pomału postarzał. No! bierz-no czółno, dziesięć czerwonych złotych dam tobie.

— Fe! jaśnie panie! Bógby mnie ciężko pokarał, gdybym dla jaśnie pana zrobił to za nagrodą, czemu się opieram za darmo.

— Ale cóż u stu dyablów, żeby znów taka rzeczka była tak straszną! Jużem też całe morza przepływał podczas najsroższych burz, a przeciem jest zdrów z łaski Boskiej i cały. Więc nie?

— Nie, jaśnie panie, niema na to sposobu.

— Patrzaj-że, jaki ja na to mam sposób — rzekł prędko Izydor i zebrał w ten moment konia.

Widząc to Bernat, struchlał na miejscu, otworzył usta i podniósł obiedwie ręce do góry—ale tymczasem dzielny koń ruszył już ze zwykłą sobie szybkością i poniósł swojego jeźdźca w wodę.

Bernat stal osłupiały i prawie skrzepły na brzegu. A nawet Antek sam, który tymczasem wyszedł także z chałupy i obaczywszy swego rywala, zaczął zaciskać pięście i szczerzyć zęby ku niemu, umilkł na widok takiej odwagi, która i jemu także, pomimo daleko gorętszej krwi od swego ojca, zdawała się tylko dziwnie zuchwałą igraszką ze śmiercią.

Tymczasem Izydor brnął coraz dalej w rozhukaną Wisłokę. I dopóki koń jego stąpał po ziemi, nie było nic jeszcze strasznego, ale jak tylko spłyną, okazało się zaraz wielkie niebezpieczeństwo. Już bowiem za pierwszym krokiem widać było po jeźdźcu, że się koń zachwiał pod nim i w oka mgnieniu woda go zniosła o cały sążeń lub więcej. Mimo to jeszcze się trochę posunął dalej, ale w ten moment uderzył bałwan w niego tak silnie, że przeniósł siodło, i tak skręcił jeźdźca, że zdawało się, jakby zupełnie wyleciał z siodła. W tem oka mgnieniu wszakże druga nadbiegła fala, a wtedy i koń i jeździec tak się zanurzyli głęboko, że było widać tylko głowę hrabiego. Musiała zapewne woda dołem poderwać konia, co go zniecierpliwiło tak, że się cały zanurzył i wtedy dał skok taki silny, że w jednej chwili i jeźdźca i prawie całego konia było widać nad wodą, jak gdyby napowietrzne zjawisko... Ale jak upadł napowrót w wodę, tak i jeździec i koń zanurzyli się całkiem, wybili sobą jamę piekielną, która się wszakże zwarła w ten moment i zakipiałą

tylko jak w garnku. I koń i jeździec bezpowrotnie przepadli...

Widząc to Bernat, krzyknął z przestrachu, zakrył rękami oczy i zaczął mówić: Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

Ale Antek patrzał na wodę rozdziawionemi oczyma. Jakoż niebawem szarpnął on ojca za połę i wskazał ręką na drugą stronę Wisłoki. Spojrzał tam stary i ku zdziwieniu swemu obaczył, że koń tam wypłynął i właśnie stojąc na brzegu, otrząsał się z tej lodowatej kąpieli. Spojrzeli potem obadwa po tymże samym brzegu, na którym stali; ba, i tu w oddaleniu kilkudziesięciu kroków coś się im pokazało czarnego. Pobiegli tam obadwa czemprędzej i już zdaleka poznali hrabiego. Przybliżyli się ku niemu i przekonali się, że cudem Boskim i on także wypłynął. Stał teraz na brzegu, zaczerpywał wielką piersią powietrza i rozglądał się w koło, aby obaczyć, gdzie jest. Ujrzawszy obudwóch rybaków, już się na pewno przekonał, na którą stronę wypłynął; lecz przedewszystkiem zapytał:

— A mój koń nie wypłynął?,

— Jest jaśnie panie! owo go widać po tamtej stronie.

— Jest, jest — rzekł na to hrabia z radością.— O! taki koń nie utonie.

— Ale jakże ja go teraz dostanę?...

To mówiąc, szedł z rybakami brzegiem rzeki ku chacie, patrząc na nich z pod oka i obawiając się pewnie, ażeby mu nie czynili wyrzutów za jego nieufność i nierostropne zuchwalstwo. Ażeby to z pewnością odwrócić, rzekł do Bernata:

— Dyabelski tu jakiś bród masz przy twej chacie, mój stary; jakoż dobrze to robisz, że przynajmniej w czas podróżnych ostrzegasz. Kto inny na mojem miejscu byłby był pewno poszedł do Gdańska, chociaż tam wcale nie zmierzał...

— Ej! co tam już mówić o tem, mój jaśnie panie! — rzekł na to Bernat, który miał zdrowe serce jak brylant i ani mu w myśli nie postały wyrzuty.— Panu Bogu dziękować za łaskę, a jutro dać na mszę świętą. Ale tymczasem chodźno jegomość prędko do chaty, bo się tu nie trudno zaziębić, a wtedy i o pokutę łatwo.

— Czekajno, mój staruszku — rzekł na to Izydor, zbliżając się właśnie do tego miejsca, z którego ruszył był w wodę — czekajno trochę, bo ten koń był u mnie wart wieś, a teraz nawet jest za dwie, ja go nie mogę tam pozostawić. Ej! żeby on umiał gadać! posłałbym go do Zawisłocza, a wielkąby mi sprawił przysługę...

Tak stał na miejscu i patrzał w zamyśleniu na tamten brzeg rzeki. Ale niebawem zaczął patrzeć z zajęciem. „Sovereign“ bowiem, który tymczasem szedł tamtym brzegiem także do góry, stanął teraz na środku drogi naprzeciw brodu i zarżał z taką tęsknotą, że Izydorowi aż serce zadrżało. Poczem zaczął biegać ponad wodą, głowę podniósłszy do góry, kitę zmoczoną zrównawszy z krzyżem i rżąc coraz żałobliwiej. Odrżała mu „Sweeting“ nareszcie, po raz i drugi. Usłyszawszy ten głos, stanął prosto ku wodzie, wyprężył szyję i zdawał się patrzeć wytężonemi oczyma w tę stronę. A kiedy jeszcze raz „Sweeting“ zarżała, on odrżał nadzwyczajnie rado-

śnie i zaczął się zbliżać ku wodzie i próbować nogami, to postępując naprzód, to się napowrót cofając. Jeszcze raz „Sweeting“ zarżała. A wtedy on cofnął się o parę króciutkich kroków w tył, stanął twardo na ziemi i rzucił się takim szalonym skokiem do wody, że prawie połowę rzeki przesadził. Przez oka mgnienie nie było go widać, ale w ten moment wystawił głowę o kilka kroków poniżej i parskając, jakby z moździerzów, w kilka sekund już był na brzegu. Rzucił się ku niemu Izydor jak opętany, objął go obydwiema rękami za szyję i przez długą chwilę słowa nie mógł wymówić z radości. Wziął go potem za cugle, a prowadząc do sługi, rzekł do Bernata:

— Przynieś-no mi jaką derkę, staruszku, żebym go nakrył, bo mi się jeszcze zaziębi.

— Biegaj Antek po derkę—rzekł prędko stary— ale i jegomość chodź także do chaty, bo się pewno zaziębisz. Konia takiego wszędzie dostanie, ale zdrowia nie kupi na wagę złota.

— Takiego konia dostanie!! — zawołał Izydor na to i śmiał się dobrodusznie ze starca; poczem kazawszy słudze przejechać konie kłusem, poszedł do chaty.

Tam jeszcze się palił ogień w kominie, dorzucono do niego drewek — a Izydor, przemoczony do nitki i zziębnięty jak kość, stanął przy tym ogniu i grzał się. Stał tak przez długą chwilę i myślał. I widać było po nim, że niebawem wcale o koniu zapomniał, a myślał zapewne o Karolu i Józi. Myślał gorąco i niecierpliwił się nie pomału, że się do Zawisłocza dostać nie może—i niecierpliwił się tem

bardzo długo — lecz w końcu uspokoił się trochę, uspokoił się wreszcie zupełnie i rzekł do siebie:

— Ha! takie jest przeznaczenie!

Myśli te, które po tem postanowieniu snuły mu się po głowie, musiały być zapewne bardzo zajmujące dla niego. Bo jego twarz wypogodziła się całkiem, swobodny uśmiech okrążył jego usta szlachetne, a w oczach jego zaświecił ten blask łagodny, który jest nieodstępnym promieniem uczucia szczęścia.

Jednak pomimo wszystkich oznak błogiego spokoju wewnątrz, zdawało się, jak gdyby od chwili do chwili oddech mu się zamykał w piersiach. Oddychał bardzo nieregularnie, a czasem prawie boleśnie. Niejednokrotnie przytem dotykał się ręką piersi i przyciskał ją silnie, tak jak gdyby go tam wewnątrz coś piekło i chciał sobie ulżyć takim naciskiem. Niebawem zaczął kaszleć—i kaszlał coraz częściej i krócej, krztusząc się przytem, a chwilami tracąc nawet oddech zupełnie. Kaszel ten musiał być jakiś niedobry, bo stary Bernat, który się znał na tem cokolwiek, spoglądał na niego z coraz większą obawą. Zakaszlał się biedny młodzieniec nareszcie tak silnie, że musiał aż chustką zasłonić usta i kaszlał tak długą chwilę — a kiedy odjął chustkę od ust, na chustce pokazała się krew...

Spojrzał on na tę krew zrazu prawie z przestrachem — ale niebawem gorzko się tylko uśmiechnął i zapadł w jakąś długą i bardzo smutną zadumę.

Niezadługo potem wstał, dobył pugilaresu, wy-

darł zeń małą karteczkę, napisał coś na niej i oddał ją Bernatowi, mówiąc:

— Jak tylko się będziesz mógł przeprawić przez wodę, zanieś tę kartkę do Zawisłocza i oddaj ją paniczowi, a jeżeliby go w domu nie było, to oddaj ją pani.

Oprócz tej kartki wcisnął Bernatowi kilka sztuk złota do ręki, poczem wsiadł zaraz na konia i wielkim pędem odjechał.

VIII.

Nic trafniejszego nie było jeszcze pod słońcem, jak to przeczucie, które Izydora jeszcze dnia tego samego pędziło do Zawisłocza. Albowiem Karol, rozbiwszy się tak szkaradnie po raz wtóry w swem życiu, jak tylko do domu przyjechał, rzucił się do nóg swej matce, spakował sobie tylko mały węzełek i jeszcze tego samego wieczora odjechał. Przy pożegnaniu nie wspomniał, dokąd odjeżdża, a zaledwie natrącił nawiasem o tego odjazdu powodach...

Zacna pułkownikowa, którą ten nagły odjazd zaskoczył tak niespodzianie, jakby ją była nie mogła zaskoczyć śmierć sama, na którą zawsze była przygotowana, z początku bardzo się tem zasmuciła; jednak po chwili, rozważywszy to zdarzenie wszechstronniej, nie tylko na nie się nie skarżyła, ale nawet nie miała nic przeciw niemu. Przedewszystkiem bowiem temu ożenieniu się syna z szambelanówną nie była ona nigdy przychylną, nawet, jak wiemy, była temu przeciwną; rozerwanie tego

związku, tak gruntowne, a nawet ubezpieczone na przyszłość, było jej wcale na rękę. Powtóre, uważała ona to sama, że jej syn, lubo był pełen materyałów wybornych, był jednak jak najszkaradnie w sobie rozdarty. Pełen bujnej imaginacyi i nią rzucany na wszystkie strony, był on w szczęśliwych chwilach zdolnym do najpiękniejszych czynów, lecz w nieszczęśliwych do największych niedorzeczności; nie mając zaś żadnych ustalonych pojęć ani o świecie, ani o obowiązkach człowieka, ani nawet o sobie samym, nie miał żadnego fundamentu pod sobą, żadnej wytkniętej drogi na przyszłość: był jak liść z drzewa burzą zerwany, który tak samo mógł być zaniesiony na szczyty gór najwznioślejszych, jak i zgnić niewidziany w jakimś dołku mizernym. Wprawdzie ta podróż jego, którą nie wiedzieć nawet dokąd przedsięwziął, mogła go właśnie narazić na takie burze, które takich rozbitych ludzi zanoszą czasem na wiekuiste bezdroża — ale pułkownikowa, jak pod tym względem liczyła wiele na jego własne uczucie, jeszcze dotychczas niepokrzywione i niezepsute, tak znów pod innym była tego zdania, iż gdyby nawet rzeczywistemu światu cokolwiek bliżej zajrzał w oczy, to mu to nie zaszkodzi, bo ma zdrowe serce i oko i z tych doświadczeń wyjdzie tylko tem rozumniejszym, silniejszym i mocniej uzbrojonym na przyszłość. Jednak, pomimo tak zbudowanych nadziei, nie obeszło się także bez pewnych obaw i smutków. Już bowiem to samo, że Karol zabrał z sobą całą tę sumę, którą z towarzystwa zaciągnął, było dla gospodarnej i o przyszłość dbającej matki smutkiem niemałym — a cóż

dopiero powiedzieć o tem, że całe gospodarstwo i wszystkie sprawy rodzinne zwaliły się teraz na nią, i samą jednę? Bez przyjaciół, bez bliższych krewnych, z delikatnem zdrowiem i głową jak najmniej usposobioną do prowadzenia gospodarstwa w okolicznościach tak nieszczęśliwych, jakie zaszły podtenczas, nie miała ona ani nadziei, aby mogła temu podołać. Przypominała sobie wciąż szambelana przestrogi, które jej bardzo trafiały do przekonania — a to ją jeszcze tem większą napełniało obawą. Być może—myślała ona sobie natenczas— że Karol z tej zagranicznej podróży powróci człowiekiem skończonym i znamienitym; ale jeżeli tam lat parę zabawi, to kto wie, czy będzie miał jeszcze do czego powrócić? — Cóżkolwiekbądź, pełna trwogi i nie wiedząc sama, coby jej teraz należało przedsięwziąć, napisała przynajmniej do Skiby, aby, o ile możności, jak najprędzej przyjeżdżał. Skiba był to jedyny człowiek, o którego skołatana i opuszczona staruszka mogła się oprzeć z ufnością i nadzieją choć jakiejkolwiek pomocy. Wyprawiwszy ten list na pocztę, wyglądała odpowiedzi z niecierpliwością, ale zarazem nie bez pewnej obawy, było bowiem rzeczą bardzo podobną, że Skiba może i nie przyjedzie. Przebywał on wówczas we Lwowie, niepokoje zaczęte w miesiącu marcu, trwały wciąż jeszcze, Lwów był ich głównem siedliskiem, a Skiba, zawsze równo gorliwy, o wprowadzenie w życie zasad gminowładnych, brał w nich udział niemały. Było tedy rzeczą bardzo podobną, że zajęty daleko ważniejszemi sprawami, aniżeli los jednej, choć ukochanej przez siebie rodziny, stanowiska swego nie

rzuci i pozostanie we Lwowie. Jednak, na szczęście pułkownikowej, sprawa publiczna przeszła już była natenczas w stan taki, iż rola ta, którą nawet w najlepszym razie można było odegrać we Lwowie, nie była wcale tego rodzaju, ażeby się od niej nie można było oderwać.

Natenczas bowiem przed wszystkiem innem już się był zebrał sejm w Wiedniu i rozpoczął swoje obrady — a więc główny ster całej tej sprawy przeniósł się do stolicy monarchii, to zaś, co się działo po stolicach prowincyonalnych, było już rzeczą podrzędną. Prócz tego jeszcze, w stolicy Galicyi działy się takie rzeczy, po których trudno się było czego dobrego spodziewać. Podówczas bowiem już wystąpiło było stowarzyszenie ziemiańskie, podówczas także już wcale inny kierunek wzięła rada centralna — i nietylko, że z tego powodu pomiędzy temi obydwoma obozami dążności sobie przeciwnych wywiązały się spory drobnostkowe, miejscowe, partykularne i niesłychanie gorszące, lecz, co ważniejsza, z powodu tak już długiego, a tak gruntownego nieładu, objawiło się w ogólności rozprzężenie, rozstrzelenie się ogólnego ducha tak wielkie, iż było rzeczą widoczną, że reforma ta na tej drodze do żadnego celu nie dojdzie—a inny jej nadać kierunek mogłyby tylko jakieś gwałtowne, a przytem bardzo szczęśliwe wypadki, ktorych się wszakże wcale spodziewać nie było można.

Taki stan rzeczy, obudzający ze wszystkich względów najprzykrzejsze uczucia, był już natenczas dla każdego tylko cokolwiek chłodniejszego człowieka widocznym — i to nawet do tego stopnia, iż

każdy sąd o tej sprawie, w któremkolwiek poważniejszem kole wydany, wypadał na niezmierną niekorzyść całej prowincyi. Co ważniejsza, jeszcze dziś nawet, gdziekolwiekbądź o tych rzeczach dadzą się słyszeć jakie uwagi, to rzadko kiedy bywają one czem innem, jak najboleśniejszemi zarzutami przeciwko sobie samym, a często nawet bezwzględnym wyrokiem potępienia na to wszystko, co tylko pod owe czasy pomyślano, albo zrobiono. Sąd taki, za zwyczaj na szczegółowych dowodach oparty, jest i sprawiedliwym i niesprawiedliwym. Niesprawiedliwym dlatego, iż rozpatrując się zanadto blizko w drobiazgach, które częstokroć nawet uwagi nie warte, traci z oka wzgląd jeden niezmiernie ważny, mianowicie wzgląd na to, iż prowincya ta, przeżywszy lat ośmdziesiąt w najzupełniejszej ciemnicy, do działań politycznych roztropnych ani usposobioną była, ani być mogła. Ale sąd ten jest w gruncie rzeczy sprawiedliwym zupełnie — a to dlatego, iż wogóle cały duch, cały kierunek tej sprawy, był już z natury swojej, z przyczyny obcego źródła, z którego natchnienie odebrał, z przyczyny zlania się swego z żywiołami sobie obcemi, jak najzupełniej fałszywym — a jako taki twór sztuczny, nienaturalny, odlatujący od serca swojego organizmu przyrodzonego, nawet w najszczęśliwszych okolicznościach, nie mógł żadnego istotnie pożytecznego osiągnąć skutku. Jest bowiem prawdą bezsprzeczną a bardzo ważną, że ile razy Galicya przedsięweźmie jakąbądź sprawę publiczną, a przy obraniu kierunku dla niej zapomni o tem, że jest rodzoną córką organizmu innego, tyle razy zawsze wyda z siebie

tylko płód krzywy, niedonoszony, niewczesny, z którego żadnego, miłego Bogu i ludziom, nie odniesie pożytku. Zapatrując się z tego punktu na ową sprawę, o której mowa, nie potrzebujemy się wcale wdawać w drobnostkowe szczegółki, ażeby o niej wydać sąd sprawiedliwy i taki, który, jakiebądź kiedyś zasady społeczne przeważą w opinii, ostanie się na zawsze w historyi.

Do takiego widzenia rzeczy przyszedł do tego czasu także i Skiba. Wtajemniczony we wszystkie najskrytsze ówczesne zamiary, wierzący w zbawienność wstrząśnień ludowych, brukowych i tym podobnych, a ztąd nie widzący dosyć dokładnie ani słabości sił, którym ufał, ani reakcyi podnoszącej już coraz śmielej głowę natenczas, miał on jeszcze wprawdzie i te i owe nadzieje, ale nadzieje te były tak słabe, tak połowiczne i nieodpowiednie jego dawniejszym marzeniom, że wiadomość o potrzebie jego przyjazdu do Zawisłocza całkiem je przeważyła. Pokręcił się tedy Skiba jeszcze przez kilka tygodni po Lwowie, urządził sobie korespondencyę, po abonował gazety — i zjechał nareszcie do Zawisłocza.

Przyjazd jego przyniósł zacnej staruszce niewymowną pociechę. Stary ten przyjaciel jej domu okazał się i teraz zarówno przywiązanym do jej rodziny, jak dawniej, gotowym do wszelkich usług, a choćby nawet i ofiar. Tem tylko jednem nie przyniósł jej pociechy, iż dowiedziawszy się o wszystkich okolicznościach, towarzyszących wyjazdowi Karola, bardzo się tem zdarzeniem sfrasował, nawet daleko więcej, aniżeli się sama staruszka mogła po nim spodziewać. Zapatrywał on się na ten krok

swego ucznia ze stanowiska swych własnych zasad i sąd jego o nim był zupełnie odmiennym. Prowadzono o tem obszerne i szczegółowe gawędy...

— Daj Boże—powiadał natenczas Skiba—ażeby Karol zachował się tak, jak się pani spodziewa, ale tymczasem ja tę rzecz widzę inaczej. Karol największą niedorzeczność popełnił, że dla tak błahych powodów wyjechał. Azaliż w takim człowieku jest jakakolwiek świadomość siebie, jakabądź ufność w swej woli, który przed marną pokusą musi aż za morze uciekać? To mi też żadnej nie daje rękojmi, że się potrafi oprzeć pokusom, które go spotkają gdzieindziej. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że tyle zabrał z sobą pieniędzy? — Mówiąc to Skiba, dziwnie się niecierpliwił.

— Ale to tak, widzi pani! — powiadał dalej — taka to jest ta nasza szlachta. Nic nie pomoże pchać w nich naukę i wiadomości, nic nie pomoże ani najlepsze w nich wpajać zasady, ani też najwspanialsze stawiać przykłady, bo tam w nich jest jakiś ogień piekielny, który swojego czasu musi koniecznie zakipieć. Na nic podczas takiego wybuchu wszystkie przestrogi! Nieszczęśliwy ten szlachcic musi odbyć swój paroksyzm gorączki i póty z żadnego z nich człowiek stateczny nie będzie, póki ten ogień zeń nie wykipi. Zapewne, że tak samo bywało i dawniej — lecz dawniej takiego kipiącego młodzieńca wsadzano na siodło i wyprawiano na wojnę, nabił się i natyrał przez jakie lat kilkanaście i potem wracał rozumny, chłodny i ludzki. Ale teraz—to wielka z tem bieda. Ci młodzi ludzie, zamiast na wojnę, której niemasz pod ręką, jadą do

wielkich miast i zamiast kipieć w pożytecznej usłudze, kipią w rozpuście. Wracają potem, wprawdzie tak ochłodzeni jak tamci, lecz kiedy tamci przywozili z sobą hartowną duszę i ciało, ci przywożą duszę ospałą, a ciało miękkie i wyniszczone. I co tu robić z taką fatalną puścizną! Choćby tylko dla tego samego, z całej tej szlachty nic już nie będzie...

— Pan Skiba zanadto generalizuje swe spostrzeżenia — rzekła na to pułkownika poważnie. — Może te spostrzeżenia są całkiem prawdziwe, może nawet i bardzo ważne, ale tu, zdaje mi się, nie zupełnie stosowne. Mój syn jest wprawdzie jeszcze bardzo młody i z tego powodu może się tak łatwo obałamucić, jak każdy inny, ale ja przecież śmiem ufać w Bogu, że nie dozwoli mu upaść tak nizko, ażeby się zepsuł zupełnie.

Tu kochająca matka wyspowiadała się całkiem otwarcie z tych wszystkich nadziei, jakie pokładała w swym synu, a o których jużeśmy wspomnieli powyżej. Skiba słuchał tego wszystkiego z uwagą, ale tylko w połowie uwierzył—a potem tak mówił:

— Wprawdzie i ja się po nim spodziewam, że nie ulegnie on tak łatwo pokusom, jak wielu innych. Wyłożyliśmy przecież nie mało pracy na jego wychowanie, a praca ta nie poszła daremnie, albowiem prócz dobrych zasad, któreśmy w niego wpoili, zachował on jeszcze ten zmysł naturalny a zdrowy, ten smak subtelny a dobry, który go niezawodnie od wszystkiego złego odrzuci, a przynajmniej mu tego złego brzydotę wykaże. Ale pomimo to wszystko niepodobna nam z oka spuszczać i tego, że w czasach dzisiejszych rozpowszechnione

uczucie piękna, sztuka i cała zresztą cywilizacya, lubo bezwątpienia nie mało zrobiła na drodze dobrej, jednak także nie mało się przyczyniła do tego, ażeby zło i wogóle wszelkie zepsucie moralne przybrało formy na pozór piękne i nadzwyczajnie ludzące. Nie trudno było oprzeć się złemu natenczas, kiedy to zło w zbrukanych szatach, z napiętnowaną twarzą, walało się po szynkowniach i najplugawszych zaułkach; ale dziś, kiedy Wenus występuje w jedwabnych szatach i brabanckich koronkach, kiedy jej Gracye wykształceniem, wdziękami i wszelkiemi przyborami piękności najcnotliwsze, a nawet częstokroć i najwykwintniejsze kobiety górują, kiedy w ich towarzystwie spotyka się młodzież jak najpiękniejszych zalet zkądinąd, kiedy nareszcie bale, dla takich bogiń dawane, świetnością, bogactwem i zgoła wszelkiemi płodami dobrego smaku przenoszą częstokroć nawet domy najpierwsze—dziś, pani droga, żelaznej potrzeba woli, brylantowego na sercu puklerza, ażeby być pewnym siebie wśród takich pokus. Ja mówię o tem z taką precyzyą dlatego, iż jestem pewny, że Karol do Paryża pojechał. Wątpię ażeby pojechał gdzieindziej — a tam jeszcze się podobno temu złemu żaden z takich nie oparł, którzy mieli potemu fundusze...

Na tę uwagę pułkownikowa odpowiedziała już tylko westchnieniem — natomiast wspomniała o zamierzonem i rozerwanem przez Karola małżeństwie. Przedmiot ten Skiba natychmiast podchwycił i tak o tem mówił:

— Jedno, co w tem całem zdarzeniu bezwątpienia jest dobre, to rozerwanie tych niedorzecznych

związków z domem szambelana. Ja z mojej strony znalazłem niegdyś także niemałe upodobanie w pannie Józefie. Widziałem ją przed trzema laty, będąc raz w Przewoźnikach, uważałem ją pilnie i bardzom sobie w niej upodobał. Była tam w niej prześliczna i żadnym oddechem sztucznego świata nie popsuta natura; jakoż natenczas myślałem sobie: — Ot! gdyby Karol taką mógł dostać żonę, jakżeby on i siebie i nas uszczęśliwił! Ale już wtedy, rozważywszy to pilnie, jaki to człowiek jest szambelan i jakim jest cały dom jego, przyszedłem do przekonania, że nawet i taka żona nie zdołałaby jeszcze nagrodzić tego złego, któreby wyniknęło ze związków z tak mało zacną rodziną. A cóż dopiero o tem rozumieć teraz, dowiedziawszy się ze szczegółami, w jakich towarzystwach ta panna się obracała w stolicy? Bywała po tych domach, gdzie oficerowie bywają; tańcowała z żołnierzami; nie wahała się należeć do wieczorynek i biesiad, na których rej wodzili żołnierze! Nie przeczę ja zresztą, że ona może temu nie winna; panna tam bywa, gdzie ją zaprowadzą rodzice. Nie przeczę także, że nawet i z takiej panny może być żona najlepsza — ale to nie jest żona dla naszego Karola. Jakoż dobrze się stało, że się to rozerwało, trzeba, żeby się to już nigdy nie zeszło — i takby to jakoś należało prowadzić...

Byłaby mogła uścisnąć Skibę za to pułkownikowa, co jej teraz powiedział, tak jej to trafiało do przekonania, tak pocieszyło jej serce. Jakoż wyspowiadawszy mu się jeszcze i z tego, o ile jej na tem zależy, ażeby nie dopuścić do tego związku,

zapomniała mu wszystko, co mówił o Karolu i szlachcie.

Tak przez dni kilka trwały pomiędzy tem obojgiem staruszków (bo i Skiba już coraz więcej się ku starości naginał) rozmowy bardzo ożywione i zajmujące, to o spodziewanych losach Karola, to o spodziewanem ożenieniu się Izydora z szambelanówną, to o polityce dziennej—aż nareszcie przyszedł czas, w którym trzeba było koniecznie dotknąć przedmiotów bliższych, wprawdzie daleko mniej zajmujących, ale nieledwie ważniejszych, bo stanowiących o przyszłej egzystencyi rodziny. Były to rzeczy w samej istocie bardzo niezajmujące. Doświadczenia, porobione z nowym trybem gospodarowania dotychczas, acz bardzo krótkie, były jednak niezmiernie smutne. Połowa siana została w polu, bo robotnika nie było; nadeszły żniwa, a robotnika było jeszcze daleko mniej. Chłopi, udarowani tak nagle jaknajzupełniejszą swobodą, do której wcale nie byli przygotowani, oszołomieli tak niespodzianem szczęściem zupełnie, zaczęli pić, hulać po karczmach, włóczyć się po odpustach i targach i wogóle, na rachunek spoczynku po długoletniej niewoli, takie dosadne zaczęli odprawiać ferye, że nietylko przestali zasilać dwory swą pracą, ale nawet i w gospodarstwach swych własnych dziwnie się opuścili. Jeszcze gdzie dziedzic, mniej zważając na konstytucyę, z pozostawionej sobie dominikalnej władzy choć jako tako korzystał, zagrodników była dość znaczna liczba z dziennego zarobku żyjących, gdzie wreszcie interes własny przełożono nad wszystkie względy i poczęto najemnika z wsi cudzych sprowadzać, przepłacając

go wedle chwilowej potrzeby — tam lubo nieraz z kosztem ogromnym, unikniono strat jako tako i przynajmniej z pola zebrano. Ale biedna wdowa, staruszka, po części nie umiała, po części zaś wcale nie mogła z wyżej wymienionych środków korzystać—i u niej żyto spadło z kłosa, a pszenica stała jeszcze do dziś dnia na pniu, chociaż to był już środek miesiąca września.

Tak samo nie umiała ona sobie także dać rady w domu. Pod wpływem owej okrzyczanej wolności, której najdziwaczniejsze pojęcia, aż do najniższych warstw docierały, cała domowa służba radykalnie się odmieniła. I tak, ekonom, zamiast pilnować półkopków, jeździł najregularniej co tydzień na posiedzenia rady powiatowej do poblizkiego miasteczka, a nabiwszy sobie tam głowę rzeczami, które się w jego głowie na żaden sposób pomieścić nie mogły, chodził potem jak pijany, przez cały tydzień i co wieczór się gdzieś wymykał na polityczne gawędy. Pisarz, pierwszy orator w tejże samej radzie partykularnej, prócz tego jeden z koryfeuszów lewicy tamże, a nad to wszystko jeszcze sekretarz klubu prywatnych oficyalistów, zawiązanego w temże samem miasteczku niedawno, choćby był chciał, rzecz oczywista, że nie mógł pilnować swych obowiązków głównych, których, również rzecz oczywista, nawet nie miał teraz za główne, tylko za najpodrzędniejsze, choć one właśnie chleb mu dawały. Ale nacóż tu i pisarza, kiedy nawet stary kamerdyner jejmości, który dotychczas najzawziętszym nieprzyjacielem był wszelkich podróży, a za najulubieńszą miał sobie rozrywkę drzemać w skórzanym krze-

śle w antykamerze, przebudzić się, zażyć tabaki, na zegarek popatrzeć i znów zadrzemać — kiedy nawet ten kamerdyner musiał teraz być nieodbicie na każdem posiedzeniu rady pilzneńskiej, powróciwszy do domu, już nie spał, ale po całych dniach czytał gazety, a zasłyszawszy o istnieniu klubu lokajów we Lwowie, prawie co drugi dzień gdzieś wybiegał pomiędzy lokajstwo sąsiednie, propagując w niem myśl zawiązania takiego samego klubu w Pilznie, Dębicy, albo też Brzostku. Szczęście to wielkie, że się na miejsce nie zgodził; bo mąż tak poważny i oczytany ani wątpienia, że byłby w samej istocie klub taki zawiązał — a ci, którzy utrzymywali lokajów, byliby dożyli jeszcze i tych skutków źle zrozumianej wolności, żeby byli musieli doświadczyć na samych sobie, jak ważną a trudną jest służba lokajska. A kiedy takie panowało usposobienie w wyższych warstwach hierarchii, rzecz jasna, że się musiało udzielać i warstwom niższym; jakoż istotnie nie rzadka to rzecz była usłyszeć natenczas, jak chłopcy stajenni, zamiast konie czyścić, rozmawiali z sobą o zbombardowaniu Pragi—jak parobcy przy pługach zapytywali ekonoma, co tam słychać z sejmu i rady — i jak klucznica przy dojeniu krów wykładała dziewkom, co to jest konstytucya? — Ciekawość ta, lubo zkądinąd bardzo chwalebna i rokująca na przyszłość, na teraz jednak kosztowała matkę Karola dość drogo — bo z tego powodu niesłychany zakradł się nieład na miejsce dawnego porządku: gospodarstwo upadło znacznie, ucierpiał bardzo zaniedbany inwentarz, ucierpiały także budynki—a co najgorsza, dawny rygor domowy, dawne

posłuszeństwo znikło bez śladu, o rozkazach już ani mowy nie było, a jeżeli jeszcze co uczyniono, to zaledwie na prośbę.

Kiedy się Skiba w tem wszystkiem zblizka rozpatrzył, to nie tylko się odrazu przekonał, jak niezmiernie kosztowne są wszystkie reformy radykalne a nagłe —ale, co gorsza, zwróciwszy słuszny wzgląd na to, że Karol zabrał z sobą wszystkie gotowe pieniądze, zaledwie się mógł spodziewać, ażeby tak bezładnemu a teraz już dobrze nadniszczonemu gospodarstwu w jakibądź sposób można dać radę. Rozmyśliwszy tedy to wszystko, zaproponował pułkownikowej, aby poprostu puścić Zawisłocze w dzierżawę, a poprzestając na małem, lecz pewnem i bez kłopotu, siedzieć sobie spokojnie, póki Karol nie wróci, albo szczęśliwsze nie przyjdą czasy. Ale pułkownikowa odrzuciła tę propozycyę stanowczo. Była ona bowiem już dlatego wydzierżawieniu przeciwną, iż w takim razie wypadłoby było pozbyć się inwentarzów i wszystkich gospodarskich urządzeń, rzeczy w dzisiejszych bezpańszczyźnianych stosunkach niezmiernie ważnych, do których potem tak łatwo się nie przychodzi. Wieś, wypuszczona dzisiaj; w dzierżawę, podobno z niej już nigdy nie wyjdzie bo miałby właściciel potem, chcąc gospodarstwo objąć na siebie, włożyć w tę wieś prawie tyle, ile ona jest wartą, to się zapewne rozmyśli i albo drugą wieś kupi, albo nabędzie procentowych papierów, zawsze daleko lepszych, niż wieś galicyjska, która ponosi na sobie takie ciężary, jak gdyby leżała w Anglii, a zato żadnych nie używa korzyści. Wydzierżawieniu zresztą była pułkownikowa jeszcze

i dlatego przeciwną, iż, jak mówiła:—Kto wie, w jakiem usposobieniu Karol powróci?—może jedynym dla niego ratunkiem będzie zajęcie się gospodarstwem? W każdym zaś razie objęcie gospodarstwa na siebie będzie jedynem stanowiskiem, jakie będzie mógł zająć w swem społeczeństwie. Wolę ja tedy już sama ucierać się ze wszystkiemi gospodarskiemi biedami i stracić w nich zdrowie do reszty, aniżelibym miała mieć sobie do wyrzucenia, żem zaparła drogę do zajęcia odpowiedniego stanowiska memu synowi.

Uznał Skiba odrazu słuszność tych uwag poczciwej matki i rzekł z determinacyą;

— Ha! to weźmy się sami do gospodarstwa.

I wziął się w samej istocie Skiba do gospodarstwa z całą energią, na jaką mógł jeszcze się zdobyć, i z całem tem poświęceniem, którego dla dobra bliźnich nigdy mu nie brakowało. Wziął się nawet do tego zawodu całkiem gruntownie i oczywiście zasadnie. Będąc tedy przedewszystkiem zdania, że żadnej praktyki nie można wykonać skutecznie, nie znając jaknajdokładniej teoryi, wziął się Skiba do książek, ażeby się obznajomić z nauką agronomii, fizyki, chemii i wszystkich innych tu należących; nie omieszkał zarazem zapoznać się z nauką ekonomii, czyli administracyi, bez której, lubo się jej naszem zdaniem z żadnych książek nauczyć nie można, tylko ją trzeba dla siebie koniecznie własną głową wynaleźć, wszystkie tamte nauki na nic się nie przydadzą. Jako człowiekowi uczonemu, a zatem mającemu i wprawę do studyów i elementa tych nauk, nie było to trudno; jemu zaś jeszcze

o tyle łatwiej, ile że przez dwa lata minione obeznał się już cokolwiek z gospodarską praktyką, a do tych studyów miał całą zimę przed sobą. Pobombardowano już zresztą do tego czasu wszystkie stołeczne miasta, skąpano we krwi całą tę rewolucyę legalną—bolał nad tem poczciwy Skiba niezmiernie, gryzł się i smucił — ale ugiąwszy się pod ciężarem konieczności, jak wszyscy, rad był nareszcie, że mu się zdarza taka rozrywka w zajęciach, nie mających z polityką i socyalizmem żadnego związku. Jakoż przez tę zimę przeszedł on prawie całą bibliotekę agronomiczną francuską, angielską, niemiecką, polską—i co tylko było pomiędzy Humboldtem, do którego się po rozwiązanie niektórych wegetacyjnych i klimatycznych zagadek odnosił, a naszym zacnym Oczapowskim, wszystko to przeczytał, zanotował, spamiętał i uczynił swoją własnością. I nie można mu tego wcale zaprzeczyć, że czytać umiał i czytał z jaknajsurowszą krytyką, przywłaszczając sobie to tylko, co w miejscowych okolicznościach wytrzymywało próbę zdrowego rozsądku. Jak tedy z jednej strony stanowczo odmówił wiary zdaniu Liebiga, że każda roślina żywi się tylko z powietrza, tak znowu z drugiej nie przyjął wcale zasady, ażeby otrzymane z ziemi produkty koniecznie w najbardziej wydoskonalonej sprzedawać formie, np. drzewo w kształcie pasztetów. Skiba na mniejszem poprzestał. I tak wyuczył się gruntownie nauki rozpoznawania rodzajów ziemi i osądzenia, do czego który z nich jest przydatnym, wyuczył się dalej teoryi wegetacyjnej, z czego która roślina się składa i co powinna zastać w przygotowanej dla siebie ziemi, ażeby wydała

oczekiwane owoce; wyrozumiał potem zasady skutecznego pielęgnowania i zastosowania nawozów, wyrabiania kompostów i wszelkich innych środków pomocniczych, a wreszcie obeznał się także z narzędziami gospodarskiemi, z ich przeznaczeniem, budową, użyciem, w którym to celu odbył umyślną podróż do Berlina, gdzie zarazem się poznał z wielu znakomitymi agronomami i o niejednej rzeczy dowiedział się z pierwszej ręki. Poradziwszy się jeszcze do tego sąsiadów i oświeciwszy się od nich o istniejących tutaj klimatycznych warunkach, jak niemniej o sposobach postępowania ze służbą i najemnikiem — pod koniec zimy już tylko tem był zajęty, jakiby system najstosowniejszy dla gospodarstwa zawisłockiego wymyślić. To też przez resztę zimy, prócz zajęć około dopełnienia inwentarzów roboczych i przysposobienia gospodarskich narzędzi, biedny Skiba i dniem i nocą przechadzał się po swojej basztowej komnacie, a w jego głowie kręcił się tylko turnus i turnus bez końca. Sto tablic najrozmaitszych zmianowań leżało na jego stole, które po całych dniach, patrząc na mapę Zawisłocza, to zmieniał, to poprawiał, to uzupełniał — a w nocy już mu się nic nie przyśniło innego, tylko żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, we wszystkich możliwych i niemożliwych po sobie następstwach. Biedny, uczony Skiba! Czy myślał on kiedy, ażeby w tej głowie, w której dotychczas tylko Platony i Justyniany, Cezary i Napoleony tak wspaniałe odbywały rotacye, zamieszkały kiedyś same pszenice i grochy, azoty i fosforany? I czy myślał on kiedy, ażeby z temi grochami i azotami da-

leko trudniejszą była sprawa, aniżeli z najstarszymi mędrcami najstarszych światów, aniżeli nawet ze skandynawskiemi runami, albo i z samym sanskrytem?—A tymczasem w samej istocie nieraz, osobliwie kiedy mu w żaden sposób nie chciały kwadrować układane rotacye, dziwnie się gorszył i niecierpliwił i nieledwie upadł. Jakoż niejednokrotnie wołał natenczas z rozpaczą:—Wolałbym objaśniać Statuty wiślickie, szukać początków polskiego prawa w piramidach egipskich i decyfrować pieniążki, choćby tak gładkie, jak szkło, aniżeli się brać do tych ziemniaków i grochów. Jeżeli policuję z sobą niezgodne paragrafy statutów, choćby i takie, które żadnej ze sobą zgodności nie mają i mieć nie mogą, co jej skutkiem owoczesnego nieoświecenia i nieumiejętności pisania nigdy nie miały — jeżeli wywiodę powinowactwo praw polskich z utajonem znaczeniem hieroglifów egipskich—jeżeli na zatartych pieniążkach jakikolwiek sensik wyczytam, chociażby za pomocą alfabetu wymyślonego przezemnie — kto mnie w tem dojdzie, kto skontroluje?— W najgorszym razie jakiś drugi uczony coś innego sobie wyroi, inny alfabet wymyśli, coś innego wyczyta i poważnie się ze mną posprzecza; lecz *coram populo* zawsze będę człowiekiem rozumnym, ba, nawet im bardziej niezrozumiałe i oschłe rzeczy popiszę, tem głębszej uczoności pozyskam sławę. A tu niech i najgłębiej zbadam wszystkie siarczany i fosforany, niechaj najmisterniejszą wymyślę rotacyę, kiedy się nie urodzą ziemniaki, albo groch nie dopisze, każdy sąsiad się na tem pozna, każdy chłop wyrozumie, a wszyscy razem wyśmieją. — Dziwnie

się niecierpliwił tem Skiba, a nieraz, kiedy o skutkach pomyślał, śmiertelne przechodziły go dreszcze. Lecz jako człowiek rozumny, a do tego stateczny, trwał wiernie przy swojem, a z obawy niepowodzenia tylko tem pilniej, tem skrupulatniej jeszcze przygotowywał się do rozpoczęcia tego zawodu, który już teraz uznał za najtrudniejszy ze wszystkich. Jakoż z początkiem wiosny był on wistocie gotów ze swojemi planami i wziął się z całą energią do czynu...

Szczegółowe opisy gospodarstw nie należą zapewne do rzeczy tak bardzo zabawnych, ażeby się mogły bez ujmy zajęcia, a może nawet bez grzechu przeciwko sztuce mieścić w powieści, której celem przedewszystkiem powinna być piękność i prawda. Ale jeżeli Francuzi, Anglicy, Niemcy mieszczą niejednokrotnie w swoich romansach całe wykłady nauk tak specyalnych, jak marynarka, fizyka, chemia, a nawet i astronomia — to cóżmybyśmy mogli najprędzej do naszych powieści przypuścić, jeżeli nie gospodarstwo, my wszyscy razem, i czytelnicy i autorowie, po największej części i przed wszystkiem innem ziemianie, rolnicy i gospodarstwem zajęci?— Toż w przekonaniu tem, że i ta książka, jak wszystkie nasze poprzednie, najgęściej się rozejdzie pomiędzy ziemian rolników, którzy się sami gospodarstwem zajmują, a zatem, że ich te gospodarskie opisy przynajmniej zbytecznie nie znudzą—przypatrzymy się także cokolwiek bliżej gospodarstwu Skiby, co naszym jest obowiązkiem, a to dlatego, iż, jak to widać z poprzedzających rozdziałów, stosunki gospodarskie w Galicyi są jedną z główniejszych

nici, z których się powieść niniejsza wysnuwa. Lecz przebiegniemy to krótko, jak tylko można najkrócej.

Owo więc plan, który Skiba dla gospodarstwa zawisłockiego wymyślił i natychmiast wprowadził w życie, nie był wcale bez sensu. Owszem, czynił on nawet zaszczyt jego głowie, że się umiała tak łatwo znaleźć na nowem zupełnie polu. Idźmy za jego planem. Przedewszystkiem tedy przyjął on za zasadę: iż ponieważ grunty zawisłockie nie wszystkie są jednej natury, a zatem nie można dla wszystkich jednej postanawiać rotacyi. Wskutek rozgatunkowania całego obszaru, wypadło mu go podzielić na cztery główne oddziały.

Pierwszym oddziałem objął on około stu morgów gruntów górnych, piaszczysto-gliniastych, lekkich i próżnych humusu, które, nie dowierzając im, aby mogły opłacić wyłożone na nie nakłady, wyłączył z góry z pod wszelkiej rotacyi. Postanowił zasiewać tam owsy i podsiewać je pastewnemi trawami, albo poprostu pozostawiać ugorem na pastwiska dla owiec, z czasem zaś doświadczać na tych gruntach skutków łubinu, z którą to rośliną zaczął natychmiast robić doświadczenia w szkółce umyślnie *ad hoc* urządzonej.

Drugim oddziałem objął około osiemdziesiąt morgów jaknajlepszego pola, które leżało tuż koło karczmy i młyna, nad samą rzeką i składało swą warstwę rodzajną z samego prawie humusu. To pole obrócił głównie pod rzepak, nazwał je rzepakowem, podzielił na cztery poletka i zaprowadził na niem następującą rotacyę: rzepak, pszenica, koni-

czyna na nasienie, koniczyna raz cięta na paszę, poczem znów nawóz i rzepak i tak dalej. Dostarczyć tak wielkiej ilości nawozu spodziewał się Skiba w ten sposób, iż z młynarzem i propinatorem, którzy na dobrej karmie utrzymywali corocznie po kilkadziesiąt sztuk bydła, zrobił umowę, że wszystek zbywający im nawóz będzie zabierał. Manipulacya taka i z tym kawałkiem pola i z nabyciem nawozu była dość trafną; Skiba zrozumiał wartość tego pomysłu i cieszył się nim niezmiernie, obiecując sobie zeń bardzo znaczne korzyści.

Pozostałą resztę gruntów ornych, wynoszącą jeszcze około czterechset osiemdziesięciu morgów, objął Skiba pod gospodarstwo regularne i systematyczne. W tym celu podzielił on całą tę przestrzeń na dwa równe oddziały, z których jeden pod uprawę jesienną, a drugi pod wiosenną. I na jednym i na drugim zaprowadził rotacyę ośmiopolową. Na jesiennym następującą: żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, groch albo wyka, owies i ugór, na wiosennym zaś taką; w pierwszym roku buraki, turnips, brukiew, kapusta i t. d., w drugim jara pszenica, żyto jare lub jęczmień, w tem koniczyna, potem pszenica, groch, bób i wyka, żyto lub owies, podsiany trawami na lat dwa.

Jak tedy widzimy, rozporządził Skiba zawisłockiemi gruntami, może z cokolwiek przesadnym względem na karmę i paszę dla bydła, zwłaszcza, że oprócz tego miał sto morgów łąk — ale zresztą bardzo systematycznie, na przyszłość nawet bardzo praktycznie; albowiem, jak to wiadomo, nigdy ten w końcu źle wyjść nie może, kto zaprowadzi u sie-

bie tak silną produkcyę paszy, rozumie się wszakże, że tylko wtedy, jeżeli jest w stanie przetrwać te pierwsze lata, w których zmniejszona produkcya ziarna silny wywiera wpływ na dochody, a inwentarze jeszcze żadnych nie mogą przynieść korzyści.

Co do innych gospodarskich potrzeb, urządził się Skiba oczywiście wedle potrzeby. Podopełniał inwentarze robocze bydłem silnem i pięknem, uregulował także inwentarze stajenne. Był wszakże w tem ile możności oszczędnym: koni tylko kilka przykupił, mając zamiar przez dobre żywienie poprawić jakość przychowku — owiec na początek nabył tylko sto dwadzieścia—a co do krów, choćby ich mógł był, a nawet powinien znaczną liczbę wyprzedać, jednak tego nie zrobił, raz dlatego, iż się obawiał, ażeby Karol, powróciwszy do domu, nie pogniewał się na niego za zmarnowanie najulubieńszych przez niego zwierząt — a powtóre dlatego, iż na tak wielką ilość produkować mającej się paszy trzeba było koniecznie odpowiedniej ilości konsumentów. Tylko już co do gospodarskich narzędzi nie mógł się Skiba oszczędzić i posprawiał wszystkie zupełnie nowe i odpowiednie. Również i co do ludzi, nie mógł na dawnem poprzestać, a lubo tych i owych odprawił, poprzyjmował jednakże nowych i uzupełnił ich liczbę tak, że każdy zaprząg miał osobnego parobka, każdy oddział polowy swego nadzorcę, każda robota, czy to w polu, czy w domu, swego kierownika i stróża.

Taki plan ułożywszy, przystąpił Skiba do wykonania—i trzeba mu to przyznać, iż wykonywał to

z taką ścisłością, jak tego dokazać może w Niemczech wprawdzie każdy człowiek chodzący, lecz w Polsce chyba tylko profesor. I z początku jak najpiękniejsze okazały się rezultaty, tak w polu, jak w domu, a nawet w każdym domowym zakątku. Wszystko odpowiedziało Skibie, nic nie chybiło. Ażeby nie wpaść pomimo woli w zbyt długą rotacyę około jednego i tego samego przedmiotu, przejdźmy od razu do czasu zbioru drugiego roku. Owo więc, nawet po upływie dwóch lat całkowitych, nie mógł się Skiba na nic uskarżać, bo mu się wszystko powiodło najdoskonalej. Zasiewy, porobione w gruntach przez niego sprawionych, wydały plony nadzwyczajnie obfite. Żyto miał takie, jakiego nie pamiętano w Zawisloczu od najdawniejszych czasów; rzepak wydał około dwunastu korcy z morga doskonałego ziarna, turnipsy, brukwie, buraki porodziły się tak ogromnie, że się sąsiedzi zjeżdżali, ażeby widzieć te dziwy, a jęczmień po okopowych roślinach dał ziarno tak obfite i tak dorodne, że jeszcze go Skiba nie wymłócił, kiedy go już zakupiono na browary, drąc się o niego i płacąc wyżej nad ówczesną cenę targową. Również nie mógł on sobie nic zarzucić, tak co do zasiewów ozimych, które były w czas porobione, nie widziały ani kropelki deszczu i były jak najporządniej złożone w stodołach.

Ze służącymi i najemnikami przeszedł Skiba męki piekielne. Jakoż tu się dopiero dowodnie zacny nasz demokrata przekonał, że to nie chciwa zysków, butna a nieużyta arystokracya, nie nienawiść albo też niechęć rodowa przemawia wtedy ze szlach-

ty, kiedy się ona skarży na ten lud wiejski i z pewnem zastanowieniem przystępuje do wyświadczenia tych dobrodziejstw dla ludu, które końca nie mają, a które ją tak drogo kosztują; ale mówi z nich wtedy tylko własne ich doświadczenie, dokładna znajomość ludu i to wrodzone ludzkie uczucie, które nie może rozlewać się z dobrodziejstwami dla tych, którzy najpospoliciej i złe i dobre przyjmują z nieczułością kamienną. Zapewne, nie winien lud wiejski tej zdrętwiałości swojego serca, winny temu ubiegłe wieki, winna może i sama szlachta; ale ta szlachta, na której ciążą te winy, już oddawna spoczywa w grobie, a na tę, która dziś żyje, trochę za ciężkie te wielorakie pokuty! Cierpieć i cierpieć bez końca, drżeć resztę szat niedodartych na sobie i dzielić się niemi z uboższą bracią, to jeszcze rzecz ludzka i to czyni szlachta; ale za takie cierpienia i poświęcenia być z jednej strony obryzgiwanym wyrzutami i błotem, a z drugiej spotykać obojętność drewnianą, a czasem najczarniejszą niewdzięczność i nawet nie westchnąć i nie poskarżyć się na to — tego nikt nie potrafi, bo to byłyby rzeczy nadludzkie. Nie potrafił też tego i Skiba, choć sam nie był szlachcicem, tylko wszedł w położenie szlacheckie. Ej! ileż-to razy natenczas on, tak łagodny i słodki i tak przywiązany do ludu, zgrzytał zębami i wściekle połykał przekleństwa, kiedy mu trzeba było stu przynajmniej żniwiarzy, a wyszło ich pięciu lub sześciu? Zboże spadało z kłosa, czeladź wiejska zbijała bąki pomiędzy płoty i radowała się swoją swobodą, a na jego ginące plony nikt ani spojrzał. Pobiegł Skiba sam na wieś:

Maćku, Bartku, Wojtaszku! owo siedzicie, ręce za pas włożywszy; chodźcie na pole, dostaniecie zapłatę! — Ba! kiej mi się nie chce—powiadał Maciek. Mam ja swoje zboże na polu, co mi tam do pańskiego! — powiadał Bartek, a Wojtaszek nawet się zaśmiał:—Ej! jak się to pany teraz kłopocą, przecie czas przyszedł i na was! — Ale zmiłujcie się—wołał Skiba — przecie się to nie godzi; Maćku, a czy nie dałem tobie dwa korce żyta, kiedyś marł z głodu o wiośnie i czyś mi nie przyrzekł odrabiać to w czasie żniwa? Bartku! a czyś ty nie wziął cztery korce ziemniaków, któreś winien do dziś dnia? Wojtku! a czym ja tobie nie wyjechał o wiośnie z dworskiemi pługami i czym cię nie poratował! Pomilkli na to na chwilę, a jeden z nich, poskrobawszy się w głowę, rzekł: — Jużci my pana także poratujemy, ale pierwej zrobimy sobie.— Zacisnąwszy czapeczkę na uszy, Skiba uciekał wtedy, połykając łzy gorzkie, które mu się cisnęły do oczu. I z temi łzami stawał nad upadającym jęczmieniem lub żytem i myślał sobie... Czy powiedzieć, co myślał?—i pomyślał sobie:—Ej! żebym miał pańszczyznę! żebym ją miał przynajmniej póty, póki się z biedy nie wyrwę, póki się choć troszeczkę nie zapomogę, póki choć do połowy nie zaprowadzę mojej ośmiopolowej rotacyi. Zawcześnie to podobno, za radykalnie, za nagle przeprowadzono tę wielką reformę! Gospodarstwa muszą podupaść, szlachta zniszczeje do reszty, a z nią i kraj cały. I wtedy przypomniał sobie tę chwilę, kiedy to szlachta podpisywała petycyę o zniesienie pańszczyzny. Z jakimże to zapałem, z jakiem zaparciem się siebie garnęła się ona do dopełnienia tego

aktu, którym się swoją fortuną na połowę dzieliła z ludem. Skiba sobie przypomniał tę wielką scenę, znał on ją dobrze, ale dopiero teraz, kiedy sam na sobie doświadczył, o ile ta szlachta przez ten akt uszczupliła swych fortun, na jaką się naraziła ruinę, potrafił słusznie ocenić jej wartość. Jakoż od tego czasu całkiem innem on okiem zapatrywał się z tego względu na szlachtę. Wyrzeczenie się poddaństwa i wszelkich z niego płynących korzyści, wyrzeczenie się tego pochmurnego zabytku nieoświeconych wieków, było bez wątpienia jednym z najświętszych obowiązków szlachty, było ono obowiązkiem względem cywilizacyi dziewiętnastego wieku, a co ważniejsza, obowiązkiem względem tej chrześciańskiej religii, którą wyznaje od tylu wieków, ale dopełnienie tego obowiązku było tak kosztownem, tak groźnem i niebezpiecznem dla jej własnego istnienia, iż z obowiązku się zamieniło w ofiarę, ofiarę wspaniałą i tak zaszczytną, jakiej napróżno szukalibyśmy może nawet w dziejach całego świata. Do takiego przekonania przeszedł dziś nauczyciel Karola—a lubo to się stało trochę za późno, jednak lepiej późno niż nigdy.

Owo więc Skiba, jakby na ukaranie za swoją tak bardzo wrzącą i tak nieoględną gorliwość o uwłaszczenie wiejskiego ludu, musiał z tym ludem przechodzić sam przez to wszystko, przez co przechodziła cała podówczas szlachta. Ale jak nad szlachtą, tak też i nad nim czuwała Opatrzność Boska i dała mu cierpliwość, skrzętnośc a wytrwałość—a tak przecież o tyle sobie poradził, że z tego względu przynajmniej zbyt wielkim nie uległ stratom.

Nie gorzej powodziło mu się także i w domu. Sługi domowe, lubo jak zwykle, krnąbrne, leniwe, niechętne, utrzymywał on w posłuszeństwie nie tyle surowością i grozą, na którą nigdy zdobyć się nie mógł, ile swoją własną pilnością, systematycznością i pedantyzmem. Najdoskonalsze to są środki na sługi, które, jako nasze nieodrębne rodzeństwo, wszystko przenieść potrafią, ale nudami dałyby się nakłonić nawet do samobójstwa. Miał tedy Skiba i sługi porządne i pracowite i w ogóle w całym domu taki ład piękny, że wszystko się tam robiło podług zegara; oczywista rzecz, że i wszystko się wiodło. Bydło robocze, karmione według wagi i miary, a nigdy nie przeciążane pracą, wyglądało wybornie—krówki, choć zaniedbane niegdyś, dziwnie się poprawiły, a znaczna liczba dorodnych cielątek sprawiała matce Karola swą okrągłością i wzrostem nieznaną dotąd pociechę. Ze stu dwudziestu owieczek zrobiło się po dwóch leciach około trzysta, a wychowane przez Skibę jarki okazały się bez porównania lepszemi od matek. Nawet i konie, na których Skiba najmniej się znał, a każdego z nich oglądał z wielkim respektem i niezmiernie z daleka, także się poprawiły i pomnożyły do tego stopnia, że można było z nich znowu coś wybrakować. Dość, że we wszystkiem widać to było jawnie, co może rozum człowieczy, co w gospodarstwie znaczy gruntowna nauka i jaką zasługę położyli ci znamienici mężowie, którzy rolnicze rzemiosło, miane jeszcze do niedawnego czasu za zajęcie zbyt nizkie i nie wymagające żadnych umysłowych natężeń, osadzili na naukowych podstawach i przez to nietylko mu

otworzyli drogę do przyszłości nieograniczonej i świetnej, ale już dzisiaj wyrobili dla niego jedno z najzaszczytniejszych miejsc między zajęciami człowieka.

Tak wyglądało tedy owo gospodarstwo w Zawisłoczu, które Skiba z takim mozołem wymyślił i z taką pracą wprowadził w życie. Ale nie dosyć na tem, bo teraz każdy zapyta:—Jakiż był tego gospodarstwa rezultat? jakież były dochody?

Że dochodów nie było żadnych, że po zaprowadzeniu takich zmian radykalnych już zaraz w drugim roku być wcale nie mogło, o tem zdaje mi się zaledwie potrzeba wspominać.

Lecz czy się to gospodarstwo opłacało, czy Skiba z jego powodu nie wlazł w jakie kłopoty? Otóż to właśnie, że się nie opłacało, a kłopoty, w których się Skiba znalazł pod koniec drugiego roku, były zatrważające.

Jakież tedy były tego powody?

Oto pierwszy i główny powód był ten, iż radykalizm w gospodarstwie, radykalizm tak ryczałtowy a nagły, lubo w szczęśliwych okolicznościach może się doskonale opłacić każdemu kapitaliście, jednak szlachcica, nie mającego nic więcej oprócz swego kawałka ziemi, prowadzi prosto do zguby. Gdyby Skiba miał o czem wytrwać przez tyle lat, na ile lat była rozłożona jego rotacya, chociażby zresztą dwa lub trzy lata mniej, to byłby pewnie z tryumfem wypłynął i przyprowadził Zawisłocze do ogromnych dochodów. Ale to było niepodobieństwem. Albowiem przyjąwszy ten system dla gospodarstwa Zawisłockiego, powiększył wydatki, a na lat kilka wyrzekł się prawie całkiem dochodów.

I tak, w pierwszym roku zebrał tylko jeden szczególny plon odpowiedni, to jest z poletka wziętego pod rośliny okopowe; w drugim roku zebrał plon tylko z czterech poletków, rośliny okopowe, jęczmień, żyto i rzepak—a reszta poletków musiała albo leżeć odłogiem, albo, co gorsza, wydawała plony nie opłacające nawet roboty. Dochody w roku pierwszym były żadne, w drugim zaś nadzwyczajnie maleńkie. A tymczasem już w pierwszym i drugim roku nakłady na robociznę i całą administracyę musiały być takie same, jak gdyby najodpowiedniejsze plony zbierano ze wszystkich kwater. Pociągało za sobą agronomiczne zasady, od których, kiedy już raz zostały przyjęte, nie podobna było odstąpić. Na taką administracyę trzeba było dużo pieniędzy, których nie było. Tak trzeba było już na samym początku posprawiać nowe gospodarskie narzędzia; bo jakże można przy racyonalnej uprawie orać staremi pługami, drapać po wierzchu niezdarnemi bronami, jak nie mieć walców, podskibników, ekstyrpatorów, kiedy te wszystkie narzędzia stały się już dziś niezbędnemi? Dalej, jak można nie mieć inwentarza roboczego tyle, ile wedle rozmiaru roli potrzeba? Trzeba było tedy kupowac inne. Jak nie okopać pól, kiedy są nizkie? jak nie kopać rowów po łąkach, kiedy są mokre? jak nie bronować i nie spopiolować tych łąk, kiedy są zamszone i wydają siano kwaśne, a mogą wydać słodkie? Już tedy rok pierwszy pochłonął wiele wydatków, wprawdzie według zasady niezbędnych, ale bardzo kosztownych. Ledwie nadeszła zima, okazały się nowe wydatki. Okazało się bowiem, iż pomimo najlichszych zbio-

rów ze wszystkich pól niesprawionych, zebrało się przecież paszy daleko więcej, niżeli jej mógł spotrzebować własny inwentarz. Sto morgów łąk, dwadzieścia cztery morgi roślin okopowych i pokoszone ugory dostarczyły paszy niezmiernie wiele. Cóż tedy począć? Sprzedać połowę siana, to grzech śmiertelny przeciw przyjętej zasadzie; sprzedać ze dwa tysiące cetnarów buraków nie było komu—cóż tedy począć? Trzeba było pożyczyć pieniędzy, a inwentarza nakupić. Manipulacya ta mogła być niezłą, ale to była już spekulacya, a Skiba był tylko agronomem; na tym inwentarzu nie wiele przyrosło; w przewidzeniu, że na drugi rok także taki sam zajdzie wypadek, zatrzymano go dla siebie, a tymczasem dług z procentami został na karku. Okazało się także, iż młócić cepami jest niepodobna, bo ani młocków na zawołanie dostać nie można, ani te zmłocki wymłacają tak jak należy. Sprawiło się zatem młócarnię jak tylko można najlepszą; sprawiło się do niej równie najlepszą sieczkarnię, a chcąc ją ustawić gruntownie i systematycznie, przebudowało się z gruntu budynek. W następnym roku było odpowiednich zbiorów cokolwiek więcej, ale też i wydatków o wiele więcej. Jak bowiem nie robić dalszych rowów po łąkach, jak ich nie popiołować, kiedy te doświadczenia odpowiedziały tak doskonale przeszłego roku? Okazało się również potrzeba niektórych nowych narzędzi, trzeba było nowe kupować nasiona, ceny robocizny podnosić, a przytem ciągle i bezustannie naprawiać i podtrzymywać budynki, bo niepodobna im przecież dać upaść. Oprócz tego wszystkiego trzeba było żyć jeszcze, utrzymy-

wać dwór cały prawie tak samo jak dawniej, trzeba było opłacać raty Towarzystwa i opłacać podatki, w galopujący sposób podrastające. Na to wszystko trzeba było niezmiernie wiele pieniędzy.

Temu całemu gospodarstwu Skiby przypatrywała się pułkownikowa z początku może z pewnem niedowierzaniem—lecz widząc, że ten poczciwy człowiek z taką skrzętnością, z takiem poświęceniem, a nawet z taką umiejętnością dla niej pracuje, uczuła się tak dla niego ujętą, że nawet i pod tym względem na ślepo mu zaufała. Jakie tylko miała pod ręką środki dostania pieniędzy, nie zaniedbała żadnego, ażeby mu ich dostarczyć. Później, kiedy wydatki zaczęły się ciągle powiększać, trwożliwa o los swój staruszka za każdym razem zastanawiała się nad tem cokolwiek; ale jak z jednej strony już przez samą delikatność nie śmiała się Skibie sprzeciwić, tak znowu z drugiej już się podtenczas pokazywały jego pracy owoce, a te były tak dalece zadawalające, że nakłaniały ją tylko do tem większej ufności. Tak tedy pułkownikowa pomaleńku zabrnęła w długi, które będąc najrozmaitszej natury, składały razem sumę dość znaczną.

Ze swojej znów strony Skiba także się w swoich rachunkach nie pomalu powikłał. Był on wprawdzie niezmiernie oględnym, nawet i skąpym; lecz na nieszczęście, nie miał żadnych finansowych talentów. Uczciwość, szlachetność, czystość, ze spraw pieniężnych, nawet najprostszych, natenczas tylko bez szkody wychodzi, jeżeli jest uzbrojoną w rozum jak najtrzeźwiejszy, doświadczenie lat wielu i lisią prawie ostrożność. A jakże dopiero taka uczciwość

może wyjść tam, gdzie trzeba koniecznie łatać, sztukować, kręcić, ażeby i kredyt zachować i nie przeładować się procentami? A w takiem właśnie położeniu znajdował się Skiba, najpoczciwszy pod słońcem. Prócz tego, przez całe życie ubogi i nigdy ze znacznemi pieniędzmi nie mający styczności, jak z jednej strony nie miał wcale wyobrażenia o tem, jakiemi sumami musi koniecznie obracać, ażeby takie gospodarstwo prowadzić, tak znowu z drugiej, mając wzrok wytężony tylko w ostateczny rezultat swoich teoryj, a nie zwracając dostatecznego względu na bieżące fazy jej przejścia, był w każdym kłopocie zdania, że to już kłopot ostatni. Ztąd poszło, iż w każdym razie ratował się tylko chwilowo, z czego oczywiście skutek wyniknął taki, iż wprawdzie się nie spętał jednym grubym postronkiem, ale się oplątał całemi setkami cieniutkich nitek, których wszakże było tak wiele, że byłby z nich wcale dosadny postronek. Wlazł on tedy w najrozmaitsze zaległości kupieckie i rzemieślnicze i w niezliczoną moc dłużników żydowskich — a przytem w tak nierostropny sposób ponadbierał dochody z propinacyi, młyna i t. d., tak niedorzeczne pozawierał umowy z kupcami lasu, zboża i tym podobnych produktów, że nareszcie już sam nie wiedział, komu co winien i ile długi kosztują.

Nie przywiązując jednak zbyt wiele wagi do tych drobiazgów, a pamiętając tylko o tem, ile mu w tym lub owym roku przyniesie rzepak, koniczyna, pszenica, brnął coraz dalej w te sieci, które sam sobie zgotował.

Tak się miały te rzeczy pod jesień drugiego

roku. O tej porze nowy kłopot opętał biednego Skibę. Oto, zebrawszy z pola, przekonał się, że w tym roku ma znowu tak wiele paszy, iż jej swym inwentarzem nie nakarmi. W roku minionym spasł taką nadwyżkę paszy inwentarzem drobnym i przekupionemi krowami, ale to się nie opłaciło, bo inwentarz drobny nie wiele zyskał, a krowy, lubo niezmiernie wiele dały mleka, jednak to mleko nie miało odpowiedniego nabywcy. Rozważywszy tedy tę sprawę przyszedł do przekonania, iż najlepiej uczyni, jeżeli woły postawi na stajni, ale na kupno wołów trzeba było dług nowy zaciągnąć, a na zaciągnienie takiego długu trzeba było zezwolenia pułkownikowej. Trwały o to dość długie dyskursy, bo staruszka była zdania, ażeby sprzedać zbyteczną paszę tak jej się to zdawało naturalnem, tak korzystnem, tak nawet w tych ciasnych okolicznościach koniecznem; ale na przedstawienia Skiby, że to na żaden sposób nie może być, bo w takim razie braknie na przyszłą wiosnę nawozu, w skutek czego cały system dotychczasowy zostanie zburzonym na zawsze—zezwoliła nareszcie, zwłaszcza, że jej nieboszczyk mąż także karmił woły co roku i zawsze na nich zyskiwał.

Ale i dług zaciągnąć podówczas, a jeszcze do tego tak znaczny, nie przychodziło z taką łatwością jak dotąd. Były to pod tym względem najfatalniejsze czasy w Galicyi. Zły stan finansów państwa, nagłe zniesienie pańczczyzny, a ztąd równie nagły upadek wszystkich większych gospodarstw, o których jeszcze nie można było nic pewnego powiedzieć, a trzeba się było najgorszego spodziewać, zmniej-

szyły do niepoznania wszelki obieg gotówki, przez co wszystek kredyt prywatny tak bardzo się zachwiał, iż właściciele kilku wsi nie byli częstokroć w stanie pożyczyć tyle pieniędzy, ile im trzeba było na opędzenie bieżących wydatków, ubożsi zaś żyli krupami i mąką, nie mając za co kupić mięsa. Nic nie przesadzam w tem sprawozdaniu, jest to prawda najrzetelniejsza. Skiba tedy, lubo się rzucał i tu i owdzie, nigdzie nie dostał pieniędzy; jakoż już zaczął tracić nadzieję.

Ale już to jakoś tak jest na tym świecie, że kiedy kto biegnie w przepaść, to chociaż mu czasem stanie na drodze jaka przeszkoda, zawsze się znajdzie jakiś dobrodziej, który tę przeszkodę usunie. W czasach największego braku kredytu, kiedy żaden rzetelny człowiek nie dostanie pieniędzy, ten, który ma długów po uszy i już się tylko dorzyna, zawsze ich zkąd dostanie. Czy to pochodzi ztąd, iż takiemu jest pilniej, a więc i lepiej szuka, nie ogląda się tyle na wysokość prowizyi, zaczem i znajdzie; czy stąd, że zawsze się chętniej tam garną lichwiarze, gdzie trupa czują, niżeli tam, gdzie widzą zdrowie i siły—sam nie wiem, ale tak się to dzieje. Cokolwiekbądź, kiedy się Skiba tak za pieniędzmi zwija napróżno i już rozpaczał, nie jadł, nie pił i nie sypiał po nocach, zjawił się w Zawisłoczu pewien człowiek, ktory mu zaraz poradził.

Był to z pozoru, nie człowieczek, ogromny wzrostem, barczysty, silny, czerwonej twarzy i owych oczek maleńkich siwych, które w tłuste policzki zapadły bardzo głęboko, lecz niezawodnie ztamtąd widziały bardzo daleko. Był on niby dzierżawcą

Borówki, wsi szambelana z Zawisłoczem granicznej, lecz w rzeczy tylko jego ekonomem i totumfackim, z pozwoleniem używania tytułu dzierżawcy przez wzgląd na długoletnie zasługi i niektóre ważniejsze sprawy, do których był używanym, a które wymagały więcej niż ekonoma. Człowiec ten nazywał się Kacki.

Owo więc ten Kacki przyjeżdżał często na grubopłaskim mierzynku na zawisłockie pola i przypatrywał się pilnie przedsiębranym na nich robotom. Spotykał on się tam prawie zawsze ze Skibą, a wtedy wypytywał się go jaknajciekawiej o jego gospodarskie zasady, oglądał narzędzia, zagony, zasiewy, plony i chwalił to wszystko niezmiernie. Człowiek ten, najpospolitszy i nieoświecony, byłby wcale obojętnym oświeconemu nauczycielowi Karola — ale że chwalił bezwzględnie wszystko, co Skiba zrobił, a jego rozumowi nie mógł się nigdy dosyć nadziwić, Skiba, człowiek tak słaby jak wszyscy inni, rozmawiał z nim chętnie i nieraz w sprzedażach jego pośrednictwa używał. Później zabrał z nim bliższą znajomość, a znalazłszy w nim człowieka wcale usłużnego, pieniędzy od niego pożyczał, których mu ten lichwiarz, ukryty zawsze, przez swoich żydków dostarczał, potem za niego wypłacał, znów przekazywał na żydów, lecz zawsze z tak małą dla Skiby szkodą, że mu nigdy nic nie mógł zarzucić.

Otóż ten człowiek zjawił się teraz już nie na polu, ale we dworze i poszedł prosto do Skiby na basztę. Kiedy go Skiba w teraźniejszem swojem usposobieniu obaczył, prawie się go przestraszył, był mu bowiem winien jakąś sumkę, niewiel-

ką wprawdzie; ale miał kasę zupełnie próżną. Jakoż mu się zaraz usprawiedliwił. Ale imć Kacki ani sobie dał mówić o gospodarstwie, zkąd łatwo przeszedł na kwestyę paszy i oczywiście zakończył na tem, że w Zawisłoczu jest tyle brukwi, buraków, rzepy i siana, że możnaby mieć piękny grosz za to, gdyby było co karmić. Zabłysnęła Skibie jakaś nadzieja, jakoż zaczął mówić o swoim z tego względu kłopocie—niebawem też ta nadzieja się zupełnie ziściła, bo Kacki mu po prostu oświadczył, iż nietylko gotów postarać się o pieniądze dla niego, ale co lepsza, ma on u siebie około ośmdziesięciu wołów, które mu gotów odstąpić.

Nie przewidział Skiba tych sideł haniebnych, jakie tu zastawiono na niego i dał się w nie jaknajłatwiej ułowić. Jakoż pojechawszy w ten moment z Kackim do Borówki, wszystkie te woły bez namysłu zakupił. Mając zaś głowę nabitą tylko tem szczęściem, które mu się trafiło, nie tylko nie zważał na to, iż za duże pieniądze kupował woły liche, wązkie, o cienkich kościach i tak wyskrzypane robotą, że wykarmienie ich było zaledwie podobnem, a w najlepszym razie musiało się stać niezmiernie kosztownem — lecz prócz tego zapłacił je jeszcze wekslami, z terminem tak krótkim, że go tego czasu na żaden sposób nie mógł być w stanie wydobycia tej sumy z tych wołów.

To też się stało grobem dla niego, w którym się sam własną ręką położył. Jeszcze być może, że gdyby się był trzymał samej roli, w której był silnym i mógł być jako tako praktycznym, byłby z czasem przez oszczędzenie się w wydatkach, przez od-

stąpienie chwilowe od niektórych zasad, przez podniesienie się cen produktów, które w samej istocie już się zaczęły były podnosić, możeby przebrnął to błoto, a przynajmniej w niem nie utonął; ale tak słaby w administracyi, rzucił się jeszcze do spekulacyi; oczywiście, że musiał grób sobie wykopać i zginąć.

Jakoż istotnie, zaledwo te fatalne woły stanęły na stajni, zaczęły się pomału pokazywać znaki śmiertelne. Żydzi to wiedzą najlepiej, kiedy mogą swe kapitały jeszcze nadal zostawiać, a kiedy już o nie upominać się trzeba. Teraz zaczęli się jawić koleją i dziwnie natarczywie nalegać. Skiba był prawie w rozpaczy. Godził się z nimi jak mógł, wypłacał procenty zbożem, drzewem i rozmaitemi zobowiązaniami na przyszłość, pożyczał gdzieindziej, a tu oddawał, lecz przez to tylko się ratował chwilowo i oczywiście wikłał się jeszcze tembardziej. A tymczasem się rzucał na wszystkie strony za środkami pomocy. Natenczas rzucił się on także do dłużników pułkownikowej, których przez dobroć serca oszczędzali dotąd oboje; ale i to nie pomogło. Poczciwego i czułego na ludzkie nieszczęścia Skibę umiano wszędzie schwycić za serce — i nigdzie nic nie oddano. Po powrocie do domu, znów przyciśniony przez wierzycieli, powytaczał dłużnikom procesy—a te procesy to nie pieniądze. Rzucał się po kolei do obywateli, do sąsiadów, do żydów i zgoła wszędzie, gdzie tylko jakąkolwiek przeczuwał gotówkę — ale już wtedy cały świat wiedział o wikłaninach, w jakie się Skiba wplątał, wiedział nawet da-

leko więcej, aniżeli było w istocie, a ztąd najlępsi zaledwie politowaniem odpowiadali na jego prośby.

Doszła nareszcie całkowita wiadomość o tym fatalnym stanie do samej pułkownikowej, skonfrontowano długi, zestawiono je razem—a wtedy piekło zrobiło się w domu. Poważna i świątobliwa matrona, która przez całe życie widywała żydów tylko w postaci żebraków, ptoszących przez drzwi o jaką łaskę, kiedy ci żydzi zaczęli włazić do jej komnat spokojnych i wykadzonych, kiedy się zaczęli upominać o swoje należności z natarczywością żydowską, ba, grozić skargami, procesami, a nawet i uwięzieniem — poczciwa matrona wpadła w rozpacz ostatnią. Zrywała się biedna staruszka, przyprowadzała się kosztem własnego zdrowia do przytomności, ażeby jakieś środki ratunku wymyśleć, zdawało jej się bowiem niepodobieństwem, ażeby przy długach nie wynoszących więcej jak dwie piąte części całego majątku, nie było już żadnego ratunku; ale jak Skiba, utraciwszy w tej nowej około wekslów i długów rotacyi, resztę swej przytomności, nie umiał już wpaść na tę drogę, na której się można było ratować—tak ona, lubo chwilowo do przytomności wracała, jeszcze tem mniej się mogła domyśleć tej drogi, na którą zresztą kogobądź mogły wprowadzić tylko zmysł bardzo zdrowy i nadzwyczajna energia. Było tedy piekło w ich domu. Staruszka chorowała, płakała, poszcząc i usiłując całonocnemi modlitwy wyżebrać sobie miłosierdzie u Pana Boga — a Skiba był jak żebrak-kaleka, którego zgraja psów rozwścieklonych opadła. Kłócił się z nimi, opędzał się im na wszystkie strony, pożyczał, ale przez to

tylko się jeszcze mnożyły długi i mnożyli się wierzyciele. Dwór zawisłocki wyglądał wtedy jak karczma zajezdna dla żydów i innych spekulantów podobnych — stan rzeczy widocznie się coraz pogarszał—i był to wtedy już moment ostatni dla przyjazdu Karola. Kilka miesięcy odwłoki jeszcze — a zastałby pewnie wszystkie dobytki rozdrapane przez wierzycieli, Skibę w więzieniu za długi, a matkę może na katafalku...

I.

Tymczasem Karol siedział przez ten czas cały prawie ciągle w Paryżu. Szczegół ten dobrze przewidział Skiba. Paryż jest dla każdego Słowianina tem, czem światło dla ćmy. Nie chcemy przez to wcale porównywać Słowian do ćmów, ale że Paryż jest światłem, że nawet pod wielu względami jest słońcem teraźniejszego świata, o tem nie ma wątpienia. Lecieć do słońca, niezły to smak, byle tylko nie po to tam lecieć, ażeby sobie skrzydła osmalić, wlokącym się krokiem do domu wrócić, a z całej podróży przywieźć tylko tę korzyść, ażeby można powiedzieć: byłem i ja tam. Skiba, jak wiemy, podejrzewał swojego ucznia i o to; ale co w tem, to się cokolwiek omylił.

Zdarzało to się niegdyś i bardzo często, ale dziś już się prawie całkiem nie zdarza. Młodzież tej warstwy, co Karol, im młodsza, tem więcej niepodobna jest do swych poprzedników. Ani jej krew tak gorąca, ani fantazya tak bujna, a o skłonności

do szaleńst, u niej zaledwie wyjątkowo może być mowa. Nie rozumiem koniecznie, ażeby w tej młodzieży już z rodu temperament był inny; ale rzecz pewna, że jakoś dziwnie prędko się zmysł praktyczny w niej budzi, a nieraz może nawet zanadto prędko otwierają się oczy na to, co jest korzystne a co niekorzystne. Niech mi kto powie, który to z dzisiejszej młodzieży czemubądź się oddaje z tą wrzącą miłością i poświęceniem, która całą istotę człowieka porywa z sobą i chłonie? — prócz gospodarstwa i interesom, na których zazwyczaj się znają tak dobrze, że dnia dzisiejszego prawie zawsze łatwiejszą jest każda zmienna sprawa ze starym, aniżeli z młodym. Nagi, trzeźwy, liczebny realizm dziwnie wziął górę nad wszystkiem — dzisiaj już sobie prawie całe pokolenie wychował.

Wszakże narzekać na to, wymyślać, płakać, albo co gorsza, rozumieć, że zapieckowem gderaniem można taki stan rzeczy odmienić, byłoby równą niedorzecznością, jak te płaczliwe dodatkowych, choć wcale niedodatnich krytyków i korespondentów gderania, że w literaturze dzisiejszej nie rodzą się same Szekspiry.

Nie wiem zaprawdę, coby z nowymi Szekspirami robili, kiedy tamtego jeszcze nie zrozumieli, jak to widać dowodnie z ich krytyk, ale to śmieszne jest i podaje ich w podejrzenie, jakoby się własnowolnie wyrzekali rozumu. Aby nie wpaść w taką samą śmieszność, nie będziemy się wcale rozwodzić z żalami nad tem, że umysły dzisiejsze tak trzeźwe i że chłodny realizm tak bierze górę nad wszystkiem. Natomiast zaś, widząc w tym zwrocie narodowego

geniuszu takie samo dzieło Opatrzności, jakim był także ten wulkan poezyi i wszelkich uczuć gorących, który wybuchnął przed trzema lat dziesiątkami, chcielibyśmy dopatrzyć w tem Opatrzności zamiarów, coby było daleko pożyteczniejszem, bo by nam dopomogło do tego, żebyśmy się do nich zastosowali.

Otóż, zastanawiając się nad tem uważnie, przychodzimy do przekonania, że chwilę tak trzeźwą dała nam na to Opatrzność, ażebyśmy po wielkich i bardzo kosztownych trudach, po wysileniach, konwulsyach nawet i konwulsyjnych miotaniach, przez któreśmy przeszli w dwudziestoleciu, kończącem pierwszą połowę dziewiętnastego, wypoczęli cokolwiek, rozpatrzyli się w naszej przeszłości i uczynili rachunek sumienia. Trzeźwość ta, która nas przy tem zatrudnieniu objęła, przynosi nam wprawdzie niemałe szkody: ci, którzy nie umieją albo nie czują potrzeby obliczać się z grzechami, tak się zatapiają w rachunkach pieniędzy, że idą w kupcy i żydy; ale dla kilku niesprawiedliwych nie zgubi Pan Bóg Niniwy, a chwila taka niezmiernie nam jest potrzebną. W niej bowiem spoczniemy, nabierzemy siły, spotężniejemy moralnie—a jeśli się przytem zapomożemy także i materyalnie, to po tych stratach, któreśmy dopiero ponieśli, a z których jeszcześmy się nie otrzęśli, wcale nam to nie zaszkodzi. Czyż nie jesteśmy jeszcze zawsze najuboższym ze wszystkich europejskich narodów? — A zresztą, ta chwila trzeźwości jest razem, jak to z pociechą widzimy, i chwilą cichej, spokojnej, gruntownej pracy. Taka praca była nam dotąd, choćbyśmy w ten rachunek

wzięli całe dzieje, prawie obcą zupełnie. Na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę, choćby śmiertelną, stać było nas każdego czasu, ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codzień przez całe życie, nigdyśmy nie umieli. Chwila tak trzeźwa, jak jest dzisiejsza, może nas bardzo tego nauczyć. Powinna tego nauczyć — i w samej istocie już uczyć zaczyna, jak tego widoczne są ślady. W Bogu nadzieja, że z każdym dniem będzie ich więcej, a skrzętna, wytrwała, nieustająca praca, do jednego wiedziona celu, stanie się hasłem powszechnem. Jakoż jeżeli nam dzisiaj czego braknie, wcale nie wrzących, serdecznych, rozpaczliwych wybryków, ale właśnie jakiegoś trzeźwego, silnego, górującego głosu, któryby zabłysnąwszy zdrowego rozsądku słońcem, resztki zbłąkanych i chorowitych chmurek rozpędził, wijące się między nami, a na dnie realizmu osiadłe robactwo podeptał, półgębki zamknął, usta mówiące otworzył i tym sposobem szeroki, bity a prosty zarysował gościniec, po którymby nas do naszej przyszłości mogła prowadzić nasza praca pospólna. Tak my rozumiemy te czasy—i zdaje nam się, że w rozumieniu naszem nie mijamy się z prawdą.

Owo więc Karol, jak się o tem wspomniało powyżej, pojechał wprost do Paryża. Należał on wprawdzie wiekiem już do tej trzeźwiejszej warstwy, o której mowa, lecz pacholęctwem swojem zasięgnął jeszcze czasów wybujałego marzenia, zaczem i zachowanie się jego w Paryżu nie mogło pójść torem

jego rozmyślnych następców. Rozbity zresztą w swem wnętrzu, bez zasad wyrobionych i pewnych, bez drogi przed sobą wytkniętej, bez znajomości statecznych, a do tego młody, żywy i zaopatrzony w daleko większy dostatek środków, aniżeli mu go było potrzeba, wpadł on, jak wielu innych, w tę jadowitą paszczę Paryża, która tak lśni i błyszczy i porywa ze sobą i tak gościnnie jest otwartą dla wszystkich.

Jak długo się kręcił w tym wirze, dokładnie nam nie wiadomo.

Rzeczą jednak jest pewną, iż przejrzał jeszcze dosyć zawczasu przez róż i bielidła, ażeby jasnemi zobaczyć oczyma, że wstąpiwszy do jednego z najpiękniejszych tegoczesnego świata ogrodów, pominął kwitnące klomby, zielone kioski i wspaniałe świątynie, a wlazł w najbrudniejszą kałużę. Cofnął się wtedy, straciwszy wprawdzie na to doświadczenie niezmiernie wiele pieniędzy, ale na szczęście swoje, prócz tego nie wiele więcej.

Po dokładniejszym rozmyśle zaczął z coraz większym niesmakiem patrzeć na ten czas utracony tak marnie, ale zarazem jął się rozglądać, gdzieby się miał teraz obrócić, ażeby się powtórnie na taki sam zawód nie narazić i tamten, ile możności, naprawić.

Pełen jeszcze dotychczas tej reakcyi, która w nim zaszła po jego pierwszem rozbiciu, pełen głębokiej niechęci dla zasad demokratycznych, a rozmarzony prawie w zasadach im przeciwnych, zaczął on szukać ludzi takiegoż samego usposobienia.

Ale natenczas zaledwie ich można było zna-

leźć w Paryżu. Obóz ten, do niedawna tak liczny, rewolucya rozbiła, rzeczpospolita nie dopuściła, a prezydentura rozproszyła zupełnie. Błąkały się jeszcze tylko jego ostatnie rozbitki. Kilka salonów, które jeszcze pozostały w Paryżu, a do których Karol wstęp zyskał, nie mogły go zadowolić pod żadnym względem. Zastawał on wszędzie tylko ból, smutek i odrętwienie, rzeczy ani zabawne, ani nauczające. Salony inne, arystokracyi, nowej i sztucznej, kupieckiej, pieniężnej i tym podobnej, nie tylko nie obudziły w nim żadnego do siebie pociągu, ale przeciwnie odrazę. W zielonym i dopiero co zawiązanym owocu nikt nie może smakować. Ludzie ci, każdy z osobna, mogą być bardzo szanowni, zacni i znamienici, ale ze swoją pretensyą lepszości *en bloc* wydali się oni Karolowi czemś niesłychanie niesmacznem, najnieszczęśliwszym wynalazkiem dziewiętnastego wieku. Pomiędzy nimi też on wcale towarzystwa nie szukał.

Ale nie mogąc znaleźć zajęcia, pomiędzy ludźmi oddanymi towarzyskiemu życiu, a dzięki wychowaniu odebranemu od Skiby, czując jego potrzebę konieczną, szukał go kędy indziej, a i niedługo potrzebował go szukać w Paryżu. Jakoż niebawem zwrócił swoją uwagę na to, co w tem mieście zawsze jest znamienitem i świetnem i zawsze niem będzie, jakiekby panowały opinie polityczne i rządy. Są to nauki i na ich cześć urządzone zakłady. Zakłady te, bez porównania bogatsze od najbogatszych stałego lądu, sprawiły na mnie niezatarte wrażenie; ale prelekcye porwały go prawie i uniosły ze sobą.

Niezrównane przymioty, któremi błyszczą wszystkie tamtejsze akademickie wykłady, chociażby treścią ich były najściślejsze i najsuchsze przedmioty, ten wdzięk wymowy, ta jasność, płynność i przystępność wykładu, są w samej istocie nieominioną matnią dla słuchaczy wszelkiego usposobienia i wieku. Jakoż i Karol, jak tylko kilku się przysłuchał prelekcyom, już się od nich nie mógł oderwać. Całe dnie trawił, połykając z nieugaszonem pragnieniem te bogate strumienie wiedzy, tak jędrne i zdrowe, a z taką łatwością się podające pojęciu. Nawet z początku tak się był rozłakomił, tak rozsmakował w tem biesiadnictwie duchowem, że zarówno połykał wszystko, co mu się tylko nawinęło pod rękę i do czego czasu mu wystarczało. Wszakże pomalu przyszedł do przekonania, że jest to także tylko swawola, chociaż najmniej szkodliwa, ale zawsze, jak każda swawola do niczego nie prowadząca. Pomyślał tedy o jakimś ładzie w tem napawaniu się wiedzą, o jakimś trwalszym i stateczniejszym z tego pożytku. Już ta myśl sama była krokiem niezmiernie ważnym w jego rozbitem życiu. Przyniosła mu też ona ten nieoceniony pożytek, iż idąc za nią, a wybrawszy sobie historyę powszechną i historyę literatury, nauki tak sobie zblizka pokrewne, wcisnął swoje porozstrzelane myśli na pewną ubitą drogę, na której z każdym dniem więcej bogacił swój umysł, a co ważniejsza, wdrażał go w światy, wymagające koniecznie głębszego i stalszego rozmysłu. Jakoż istotnie przy tak poważnej, a przytem gorliwej pracy, jego duch zaczął nabierać coraz jaśniej świadomości siebie samego, spajać się z sobą, mężnieć i twardnieć i wynosić się

na stanowisko, daleko wyższe, aniżeli go dać może jakaś kapryśna miłość albo nienawiść, jakaś tak ciasna zasada, jak demokracya albo arystokracya, lub tym podobna inna teorya partykularna, czy to odziedziczona z przeszłości, czy dopiero dziś wymyślona.

Wszakże ta praca poważna, dokonywana w towarzystwie całego zbiegowiska młodzieży, nastręczyła mu także nieuniknioną sposobność przypatrzenia się zblizka ludziom, li tylko pracy oddanym. To wprowadziło go także i w cały świat ten, tak pracujący i pracowity, stanowiący najznaczniejszą część populacyi Paryża, a tak mało znany przez cudzoziemców. Było to także niemałą dla niego korzyścią. Tu bowiem dopiero zobaczył on rzeczy, o których dotąd nie miał pojęcia i tu dopiero poznał dokładnie, na jakiej to drodze Francya przyszła do takich doskonałości pod każdym względem i dlaczego to ona dziś tak góruje nad światem. Hojnie zapewne natura uposażyła Francuzów, dając im bystrość pojęcia, umysł niezmiernie giętki, a do tego ten humor nieoceniony, który w najtwardszych nie opuszcza ich losach, ale tych samych darów nie odmówiła także natura narodom innym, przynajmniej nie odmówiła im w zupełności, czemu my sami może najlepsze ze wszystkich dajemy świadectwo. Jednak te dary natury, chociażby najobfitsze, pozostawione odłogiem, na nic się przydać nie mogą, czemu my także dosyć dobitne dajemy świadectwo. Jakoż o tej niezmordowanej pracy, o tej wytrwałości kamiennej, o cierpliwości nadludzkiej, o tem wyłącznem poświęceniu się wreszcie obranemu raz zawodowi, mo-

że dokładnie powziąć wyobrażenie ten tylko, kto wszedł pomiędzy te ciche i umyślnie przed ludzkiem okiem schowane przybytki pracy i naocznie się temu przypatrzył. Karol nie wahał się wchodzić w te ubogie zakątki i wynosił ztamtąd codziennie niezatarte na całe życie wrażenia. Nabrał on razem poszanowania dla pracy, uczucia zaledwie znanego u nas, przekonał się, co może poświęcenie się i wytrwałość, a co jeszcze ważniejsza, zrobił to spostrzeżenie, iż w narodzie zdrowym, silnym, żywotnym, każdy człowiek ma jakiś swój zawód wyłączny, jakieś rzemiosło, które spawując, i sam się staje walnym członkiem społeczeństwa swojego i przyczynia się do utrzymywania tegoż społeczeństwa w sile żywotności i wzroście. Wyjąwszy niewielką liczbę pasorzytów, których nigdzie nie braknie, każdy tam człowiek jest czemś, każdy dźwiga na sobie cząstkę społecznego ciężaru, każdy jest jakimś czynnym organem całości, a tym sposobem bezładne kędyindziej mrówisko ludzi jest tam społeczeństwem, jest spojnym, jednym i silnym narodem. Spostrzeżenie to naprowadziło go na jeszcze poważniejsze, a raczej dokładniejsze myśli o sobie, jego, który cokolwiekbądź przecież jeszcze zawsze był niczem i nie obrał dla siebie żadnego zawodu. Jest to zapewne nie bardzo dobrze, jeżeli o obraniu zawodu aż myśleć trzeba. Kto wskutek rozmysłu dopiero obrał zawód dla siebie, ten może wprawdzie wywiązać się dosyć znośnie ze swego zadania, ale do znamienitych rezultatów rzadko on doprowadzi. Tylko ten, który się, że tak powiem, urodził już z obranym dla siebie zawodem i kiedy przyszedł do roz-

poznania się z sobą, ani sobie mógł wyobrazić, ażeby mógł zostać czem innem, jak tylko tem, co od dziecięctwa nosił w swem sercu, jest prawdziwym człowiekiem zawodu i pewnie go dopełni świetnie i niepospolicie. Ale kiedy komu takiego przyniesionego z sobą zawodu brakuje, co zresztą bywa najpospolitszym wypadkiem, dobrze jest, jeżeli się nad jego obraniem namyśli. Tak zrobił Karol i długo myślał... ale nic nie wymylił. I nie dziwna to wcale. Nie wiele jest takich zawodów, któreby dla nas były otwarte, a te, które takiemi są, przynoszą z sobą najczęściej wymagania tak trudne, że zaledwie podobna wobec nich się nie zachwiać. Ze wszystkich tedy zawodów pozostało mu gospodarstwo, które go nie mogło zniewalać myśleć inaczej, a działać inaczej, obiecywało pożądaną swobodę, a które zresztą miał już gotowe. Jakoż na to się zdecydował. Zaczął tedy natychmiast słuchać prelekcyi fizyki, chemii i nauk innych, wyższych i niższych, a z jego przyszłym zawodem styczność mających. Miał on już dzięki staraniom Skiby nieobojętne elementa tych nauk, zaczem nie trudno mu było wcale do nich przystąpić i zapoznać się z niemi gruntownie. Nauki te trwały blizko półtora roku, a ten czas zbiegł mu tak prędko, tak lekko, a na dobitkę jeszcze tak go mało kosztował, że wtedy nieraz, przypominając sobie, jak drogo zapłacił za zabraną znajomość z tą właśnie stroną Paryża, która nie była wartą ani złamanego szeląga, łzy mu stawały w oczach i nie mógł sobie nigdy tego grzechu darować...

Pod koniec lata drugiego roku swego pobytu

w Paryżu, zaznajomiwszy się już z teoryami, na których się gospodarstwo dzisiejsze opiera, wyjechał Karol na prowincyę, a ztamtąd do Anglii i Szkocyi, ażeby się zastosowaniu tychże teoryi przypatrzyć. Co tam widział, nie będziemy tu opisywać, są na to osobne książki. To jednak musimy dodać, iż obejrzawszy te arcydzieła, w których teorya tak świetnie nie objawiła w praktyce, nie uważał ich przecież za rzeczy, któreby można tak samo wprowadzić w życie u nas. Do przekonania tego przyszedł on mianowicie przez pilne rozważenie warunków, które istnieją np. w Anglii, a które, tylko one, jedynie, są w stanie zapewnić powodzenie tak śmiałym krokom postępu gospodarstwa rolnego i gałęzi przemysłowych z niem połączonych. Pomiędzy warunki te policzył najpierw wysokość cen tamecznych nie niezmierną, bo przeciw spadkom zbyt znacznym ubezpieczaną zmienianemi wedle potrzeby ustawami celnemi. Jako drugi szczęśliwy dla rolników warunek, uważał tamtejszy stan atmosfery, który mniej więcej jest stałym, a nigdy tak bardzo zmiennym, ażeby produkcya, zamierzona z wielkim nakładem, mogła jeszcze na pniu uledz zniszczeniu skutkiem nieprzewidzianych przypadków, Trzecim, również szczęśliwym warunkiem, zdawał mu się być stosunek tamtejszej ludności do przestrzeni roli pod uprawę przyjętej, skutkiem czego robotnik jest zawsze pewny, robotnik zapewne drogi, ale tak zręczny, sumienny i pracowity, że się sowicie wypłaca za odebraną nagrodę. Wziąwszy jeszcze nakoniec w rachunek tamtejszą opiekę rządu, liczbę rolniczych szkół i zakładów, rolnicze banki, policyę

polową, drogi komunikacyjne w najlepszym stanie i t. d., nietylko nie dziwił się temu, co zastał, ale dziwićby się był musiał, gdyby przy takich warunkach rolnictwo nie było się wzniosło do tego stopnia doskonałości i jeszcze ciągle się nie wznosiło.

Lecz u nas, mianowicie w Galicyi, gdzie ceny zboża są zdane na opiekę przypadku, zawsze są nizkie, a czasem nawet zupełnie żadne—gdzie atmosfera jest tak niepewną, grady takie dosadne, a słoty nieustępujące ani na jotę gradom, gdzie wiatry karpackie tak nieraz wściekle hulają, a mgły, osobliwie nad brzegami rzek, między wzgórzami, nieodbitą rdzę z sobą przynoszą—w Galicyi, gdzie stosunek ludności do obszarów roli jest tak niezmiernie małym, robotnik nigdy pewny, a zawsze niezręczny, leniwy i niesumienny—u nas nareszcie, gdzie na opiekę nad rolnictwem czas jeszcze nie przyszedł, na szkoły nas nie stać, banków rolniczych choć najtrafniejsze projekty na trudności trafiają, a policyi polowej jeszcze niemasz wspomnienia, a drogi komunikacyjne dopiero się robią—u nas można zaledwie westchnąć za takim stanem rolnictwa, jakim się cieszą Anglia, Belgia i Niemcy, ale o wprowadzeniu go w życie, choćby przy chęciach najlepszych, nawet nie można pomyśleć.

Tak sobie Karol wiadomości nabyte o gospodarstwach tamtejszych zastosował do swego kraju i z takiem zdaniem wrócił do Francyi. Zdanie to było zapewne dość trzeźwem, jak na młodego, bo któż sztandary postępu wywiesi, któż zardzewiałe przesądy zetrze i nowe wprowadzi rzeczy, jeśli nie

młodził — lecz niemniej przeto zdanie to ciężką go napoiło goryczą. Smutno jest bowiem czuć w sobie siły, mieć chęci, mieć i środki pod ręką, a wiedzieć, że wszystko to skutkiem barbarzyńskiej a nienawistnej przemocy, jest na bezczynność wskazane. Nawet chleb nasz powszedni, naszą własną wydowywany pracą, jest ściśle ograniczony wagą i miarą, ażebyśmy się nie przesycili przypadkiem, ażebyśmy nie przyszli broń Boże! do zbytecznych zapasów. Gorzkie to przekonanie! Poniża ono, przygniata umysł i prawie koniecznie do ospałości zniewala. Takiemu uczuciu uległ także i Karol — a to uczucie jego jeszcze daleko więcej zgorzkniało, kiedy sobie rozmyślił, jakie to jest stanowisko dzisiejsze obywatela w Galicyi. Wspomnienie to otworzyło drogę jego melancholicznym myślom o upadku szlachty w tej nieszczęśliwej prowincyi. Szlachta ta, rozbita dwiema rewolucyami moralnie, zniszczona materyalnie, przebywa dziś jakoby w kleszczach podwójnych, które ją cisną z góry i z dołu. Straciła dawne swe przywileje i nietylko, że nie dostała nic za to, lecz jeszcze pod niektóremi względami nie wolno jej używać nawet tych prerogatyw, jakie służą właścicielom gruntów włościańskich—odebrano jest stanowisko dawniejsze, nie nadawszy żadnego nowego—a ztąd jej dzisiejsze istnienie, wszystkie stosunki tak społeczeńskie, jak urzędowe, które ją otaczają, są tylko masą nieoznaczonych przypadków, zawisłych od złej albo dobrej woli urzędów. O ile życie w takich okolicznościach jest nieprzyjemnem i trudnem, Karol jeszcze niewiedział, lecz się domyślał — a to go od zajęcia się

gospodarstwem odstręczyło stanowczo i ostatecznie. Jakoż porzucił tę myśl z żalem i smutkiem, ale z determinacyą.

Czy dobrze zrobił, czy tak był zrobić powinien, przyszłość dopiero okaże. Ale on o przyszłości wcale nie myślał. Jakoż wróciwszy do Paryża, oddał się znowu naukom. Przeszedłszy mistrzów dzieje powszechne, rzucił się teraz z tem większą ciekawością na historyę swego narodu, wertując kroniki, inne pisma źródłowe, napawając się chrobrym duchem praojców i żyjąc cały w pobożnem rozmyślaniu przeszłości...

Tak minęła mu większa połowa zimy.

Tymczasem już od początku zimy zaczęły go dochodzić coraz częstsze listy od matki. Przez cały czas swego pobytu zagranicą miewał on zawsze wiadomości z Zawisłocza. Opisywała mu matka dosyć dokładnie to, co się tam działo, ale z początku wystawiała mu rzeczy te ze strony najlepszej i nigdy najmniejszem słówkiem nie zachęcała go do powrotu. Miała ona do tego swoje partykularne powody, o których nigdy nie wspominała—a w swoich listach chwaliła mu tylko jego oddawanie się naukom, zachęcała go do nich i dodawała na końcu, że do zamknięcia się na wsi będzie miał czasu aż nadto. O gospodarstwie Skiby wiedział listów jego własnych. Dawny jego nauczyciel, a teraz agronom, opisywał mu ze szczegółami swoje systemy, swoje podziały roli i sposoby uprawy, lecz jak z jednej strony zawsze najszerszej się rozpisywał o pozbieranych już plonach bajecznych, tak z drugiej znowu kwestyę administra-

cyjną i finansową zawsze przemilczał. Karol widział niektóre błędy w gospodarczym systemie Skiby, ale je, jak też i słuszna, miał za mało znaczące—nie wiedząc zaś nic o każdodoczesnym stanie rachunków, a spodziewając się po Skibie, iż w żaden sposób być rozrzutnym nie może, ani mu się przyśniło, aby to gospodarstwo jego mogło go przyprowadzić do jakichkolwiek kłopotów. Jeszcze nawet z początkiem zimy, kiedy już z listów matki zaczęły dosyć wyraźnie przeglądać zdania wcale niekorzystne o administracyi Skiby, a nawet tu i owdzie przebijała się pewna obawa o przyszłość, Karol na to wcale nie zważał, mając te rzeczy zawsze tylko za drobnostki. Aż tu pod koniec miesiąca lutego odbiera list kilkuarkuszowy, w którym matka mu opisuje cały stan rzeczy tak, jakim był w samej istocie. Długi, lichwiarze, procesy, żydy, piekło w domu. Natenczas Karol już doskonale zrozumiał, jakim to kosztem Skiba wydobywał plony tak bajeczne. Jakoż niedługo bawiąc, wsiadł na kolej i do Krakowa przyleciał, a ztamtąd pocztą pobiegł na całą noc do Zawisłocza.

Wrócił więc młody dziedzic nareszcie do swego majątku — i wrócił, jak to widzimy, człowiekiem zupełnie innym, aniżeli niegdyś wyjechał. Półtrzecia roku czasu, strawionego na poważnych zajęciach i pracy, sprawiły w nim zmianę niemałą. Usposobił on młody swój umysł do statecznego myślenia, wzbogacił go wiadomościami, czerpanemi z najlepszych źródeł, a lubo nie ugruntował w sobie zasad pewnych i niezachwianych, nie wziął się jeszcze moralnie w całość harmonijną i zgodną i zasze był jesz-

cze „Rozbitkiem," jednak wzniósł się już na stanowisko daleko wyższe, z którego mógł lepiej panować nad sobą, i przez uzyskaną oświatę wyższą usposobił się lepiej do uzyskania pewnej więzi wewnętrznej. Taka więź, takie wewnętrzne ujęcie, stanowiące dopiero właściwą dojrzałość człowieka, rzadko kiedy bywa skutkiem samego wykształcenia umysłowego, albo owocem myślenia — ale go daje zazwyczaj dopiero czyn jakiś, czyn energiczny, stanowczy, dokonany z całą przytomnością umysłu, a będący zarazem jakoby hasłem lub drogowskazem na całą przyszłość. Szczęśliwi są ci, którym sposobność do podobnego czynu zdarzyła się na samym wstępie do życia; rozpoczęli oni swój zawód wcześnie, obaczyli kierunek całej swojej przyszłości odrazu i rzadko kiedy potem omylili swe drogi. Karol, jak to już wiemy, nie należał do tych szczęśliwych. Rozbił się raz w swoich politycznych marzeniach, rozbił się po raz wtóry w miłości i rozbijał się potem przez półtrzecia roku po światach wiedzy, wprawdzie nie bez korzyści dla siebie, ale zawsze nie zrobił przez to nic z sobą takiego, coby go wewnątrz ujęło i dało mu upragnione, stateczne stanowisko pomiędzy ludźmi. W tej chwili, lub może nie taka, jakaby się należała jego zdolnościom, zdarza mu się po temu przecież choć jakaś sposobność. Obaczymy, czy ją potrafi uchwycić i obrócić na swoją korzyść?...

Karol przyjechał do Zawisłocza jeszcze na parę godzin przed świtem. Zastawszy wszystkich śpiących, wszedł cicho do swego dawnego pokoju i spać się położył.

Kiedy się zbudził około jedenastej godziny i zeszedł do dolnych komnat, zastał już tam i matkę i Skibę, czekających z niecierpliwością na niego. W pierwszym momencie wielka oczywiście była uciecha. Biedna matka, pod wrażeniem radości, zapomniała o wszystkich dolegliwościach, które ją tak utrapiły i tylko wypytywała syna o jego podróże i doświadczenia. Cieszył się także i Skiba, ale się mienił co chwila, wiedząc dobrze, że po krótkiej radości będzie musiał przystąpić do egzaminu bardzo dziwnego, przy którym nauczyciel nietylko ma zdawać lekcyę przed swoim uczniem, ale co gorsza, jak najpewniej jej nie zda i zostanie osadzonym *in scamno asinorum*. Ta sama myśl straszliwą napawała go trwogą.

Przyszła nareszcie ta chwila fatalna, w której Karol zapytał:

— No, opowiedzcież mi państwo, coście tu porobili?

Na szczęście Skiby, zabrała pierwsza głos matka i opowiedziała pobieżnie skutki, jakie się dziś okazują, zwalając, przez delikatność sobie wrodzoną, ich winę raczej na nieszczęśliwe okoliczności, aniżeli na tego, który je własnoręcznie sprowadził. Zapytał jeszcze Karol o te i owe szczegóły Skibę — i tak dowiedział się reszty.

Natenczas zabrał głos nieszczęśliwy agronom, chcąc mu się wytłómaczyć ze swojego systemu, a jednocześnie dowieść, że system ten jest nieomylnym i musi w końcu najpożądańsze przynieść owoce; ale jakim sposobem przyszło do takiej kryzys fatalnej, jakoś na razie nie wiedział. Jednakże Ka-

rol, do najwyższego stopnia zgryziony tym niebezpiecznym stanem jego fortuny, który nawet o wiele przeszedł jego oczekiwanie, ani na to nie zważał, co mówił Skiba. Przechadzał on się ze spuszczoną głową, z założonemi za sobą rękami po obszernej komnacie i milczał. Po dłuższej chwili dopiero przystąpił do Skiby i rzekł mu, wprawdzie z wyrzutem, ale niezmiernie łagodnym:

— Ja tylko jednej rzeczy w tem nie rozumiem, mianowicie zaś tej, jakim sposobem mogłeś się ty tak dalece omylić, ty, który wszystko usiłujesz sprowadzić do jak najprostszej zasady i każdą rzecz masz za niepewną i ciemną, która się nie da dowieść cyframi?

— Ja ci dowiodę cyframi...—zaczął Skiba, ale Karol mu przerwał, mówiąc:

— Już mi nic nie dowiedziesz, bo cyfry są i świadczą przeciwko tobie. Dziwno mi nawet, jakeś mógł nie przewidzieć tych cyfr. A przecież było to nie tak trudnem. Przedsięwziąłeś gospodarstwo wkładowe, przedsięwziąłeś wydatki, na które nie miałeś funduszów: czyż nie konieczną w takim razie są rzeczą zaległości i długi?...

Skiba milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— No, ale proszę cię, jakże sobie było postąpić? Niepodobna przecież było prowadzić gospodarstwa takiego, jak za czasu pańszczyzny, które dziś nie może na żaden sposób opłacić. Ja to wyrachowałem jak najdokładniej.

— To źle rachowałeś. Ja nie zaprzeczam temu, że gospodarstwo takie, jak za czasu pańszczyzny, nie może się dziś odpowiednio opłacać, ale się

może licho opłacać, a to zawsze jest lepiej, aniżeli żeby się całkiem nie opłacało i sprowadzało jeszcze za sobą długi. Są może wsie w położeniu tak nieszczęśliwem, że chcąc z nich opłacić tylko podatki i robociznę pomierną, trzeba się koniecznie chwytać jakichś środków pomocniczych, czasu pańszczyzny nieużywanych; ale jak z jednej strony i tam tylko natenczas można się chwytać takich środków, jeżeli są na to fundusze, tak znowu z drugiej Zawisłocze nie jest wcale w tem położeniu. Tu, zapewne, że ci się żyto urodzi wybornie, jeżeli pod nie trzy razy zorzesz żelaznemi pługami, ziemię wyczyścisz, zwałkujesz i dasz nawóz silny, przygotowany na umiejętnie urządzonej gnojowni; ale jeżeli raz tylko zorzesz pługiem drewnianym i dasz nawóz zwyczajny, to ci się także urodzi. A cóż jest lepszem: czy sprodukować sto miar żyta bez kosztu, czy sprodukować sto pięćdziesiąt, lecz z kosztem, którego nie można zastąpić inaczej, jak tylko pożyczanemi pieniędzmi? — Tak samo się ma stosunkowo ze wszystkiem. Wyborna jest rzecz zbierać co roku po dwa tysiące centnarów turnipsu, brukwi; ale kiedy kto ma po kilka tysięcy centnarów siana, a inwentarze tak małe, że i to siano jeszcze mu jest zbytecznem, nacóż mu produkować jarzyny, znowu z kosztem ogromnym i takim, na który niema funduszów? I tak dalej, i tak dalej, mój Skibo, z czego wynika ta ważna prawda, że gdybyś się był trzymał starej rutyny i więcej miał względu na okoliczności, niż na agronomiczne zasady, to byłbyś propinacyą i młynem opłacił podatki i towarzystwo, sprzedażą połowy łąk robociznę i bieżące wydatki, a coby ci

się urodziło na roli i w oborze, tobyś miał w zysku; zaprowadziwszy zaś gospodarstw wzorowe, masz ogromną ilość karmy dla bydła, której nie masz czem skarmić, a sprzedać nie możesz; masz śliczne zboża, ale na ilość niezmiernie mało; masz mnóstwo mleka, o które się nikt nie zapyta, a przytem towarzystwo niezapłacone, podatki niezapłacone i długów po uszy.

Słuchająca tych uwag matka bardzo niemi się ucieszyła, bo widziała w nich sens dosyć zdrowy, a ztąd rękojmię, że Karol, kiedy się weźmie do gospodarstwa, potrafi sobie dać radę. Już mu to miała powiedzieć — kiedy wtem żydki, dowiedziawszy się o przyjeździe panicza, zbiegli się ze swemi pretensyami do niego. Weszło ich razem trzech do pokoju—i weszli tak, jak ich już nauczyła tu wchodzić niezaradność Skiby i delikatność, a trwoga w ciągłym przestrachu przed ich procesami utrzymywanej starszki. Z taką też samą poufałością, ba! prawie zuchwalstwem, zwrócili się oni do Karola, prezentując mu swoje terminatki, kontrakciki i weksle. Karol, lubo z surową powagą, spotkał ich jednak dość grzecznie i rzekł im, że wszystkie te pretensye będą im popłacone z pewnością, ale tymczasem muszą mieć jeszcze cierpliwość.

— Co to cierpliwość? — mówili żydzi, biorąc się do młodego panicza odrazu z góry i grożąc poprostu skargami i procesami. Zdarzyło się przytem najzuchwalszemu z nich wymówić kilka słów takich, które były z ujmą samej pułkownikowej. Ale zaledwie odważny mówca wypowiedział te słowa, kiedy go Karol swoją silną dłonią chwycił za koł-

nierz i przestraszoną jego figurą z taką nieoględnością uderzył w jego kolegów, że wszyscy trzej jerozolimczycy zniknęli tak nagle z komnaty, jak gdyby ich nigdy nie było a w komnacie; na ziemi zostały po nich tylko trzy czapki... Widząc to Skiba, tak się tem uradował, że aż ręce zatarł z radośc, a nawet sama pułkownikowa się uśmiechnęła—musieli oni oboje nie mało od nich wycierpieć.

Był to zapewne dość niewłaściwy sposób korespondowania z wierzycielami, ale w tym razie konieczny, a zresztą bardzo skuteczny, bo od dnia tego żaden z wierzycieli, nawet ani Kacki, chociaż dopiero wczoraj tu był i dusił Skibę o jakieś dłużki pomniejsze, nie pokazał się w Zawisłoczu.

Znalezienie się to dało nową rękojmię matce, że Karol potrafi postawić czoło tym gospodarskim kłopotom, nie da się im przygnieść do ziemi i może je w końcu zwyciężyć.

Ale niestety! ta scena z żydami była ostatnim dowodem jego energii.

Od tego czasu bowiem nie zdarzyła się już żadna sposobność do podobnych dowodów, a Karol sam jej wcale nie szukał. Nawet o całym stanie interesów mówił on wcale inaczej, aniżeli się można było po nim spodziewać. Wspomniał wprawdzie jakby przez zęby, że z wielką pracą, z poświęceniem się, z trudem, możnaby może kiedyś wybrnąć z tych nieszczęśliwych wikłanin, ale przedsięwzięcie to byłoby ryzykownem niezmiernie, bo jest zawisłem od tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, a zresztą, ta praca, ten trud, to poświęcenie, nie mogą być nigdy wynagrodzone odpowiedniemi skut-

kami, które w najlepszym razie muszą być tylko mierne, zaledwie znośne i w gruncie rzeczy nic nieznaczące.

— Pracować krwawo — mówił on wtedy — targać siły, rujnować zdrowie, borykać się z temi obrzydliwemi okolicznościami, jakie nas otaczają, a wszystko tylko na to, ażeby uzyskać marny kawałek chleba i nigdy nie doprowadzić ani do mienia, ani też do żadnego znaczenia, to oczywiście nie warto.

Słowiańskie lenistwo, połączone z tą staropolską zasadą, która powiada: albo coś, albo nic zgoła—tak go usposobiło nieznośnie.

Jakoż, choć widać było po nim, iż mu myśli nie brakło, których urzeczywistnieniem mógłby fortunę swą wyratować od zguby, jednakże brać się do tego nie miał najmniejszej ochoty, a nawet do całej tej sprawy miał widoczną odrazę. Z dalszych jego zdań zresztą nie trudno się było domyśleć, iż jest poprostu za tem, ażeby Zawisłocze sprzedać, co wszakże tylko zdaleka dawał do zrozumienia, nie mając zapewne odwagi wypowiedzieć wyraźnie.

Był przytem z każdym dniem coraz bardziej zgryziony, gorzki, smutny, milczący...

Takie usposobienie tego młodzieńca, w którego rękach spoczywała ostatnia nadzieja ratunku, napoiło niezmierną goryczą tak samą pułkownikową, jak też i Skibę. Ale milczeli oboje—i tak minęło dni kilka.

Jednakże tak pozostać nie mogło. Na coś się zdecydować trzeba było koniecznie. Nie mógł się zdobyć na krok stanowczy zdrów, silny i właśnie do dźwigania kłopotów jakby stworzony młodzieniec,

zdobyła się na krok taki jego matka, wiekowa, słaba i nieszczęściami skołatana staruszka.

Jakoż natenczas wystąpiła ona w całej swojej świetności i blasku z tą wolą silną w wielkiem swem sercu i z tą koroną poświęcenia na skroni, jakiej dosięgać umiały tylko nasze prababki. Bóg sam wie tylko, ile tam łez wypłynęło w ukryciu, ile tam modlitw zostało zasłanych do nieba, ile to nocy kosztowało bezsennych, nim się ta biedna zdobyć na takie przezwyciężenie swoich uczuć najdroższych i najdotkliwszych boleści; ale kiedy trzeba było ofiary, to się na nią zdobyła i przyniosła ją temu, który o ofierze ze swej strony ani pomyślał.

Z największym tedy spokojem duszy, z najpiękniejszą pogodą na czole, przystąpiła ona dnia jednego do syna i rzekła mu prawie te słowa:

— Moje dziecko kochane, czas nagli, a my nie możemy nic postanowić. Tak to pozostać nie może, a jakabądź przyszłość nas czeka, lepiej ją zawsze uprzedzić, aniżeli żeby ona sama nas zaskoczyła. Ratunek dla nas zwyczajny jest niepodobnym, ale jeszcze zawsze położenie nasze nie jest takie, ażebyśmy musieli rozpaczać. Zawisłocze jest to wieś piękna, na którą zawsze kupiec się znajdzie i nawet nieźle zapłaci. Nie jest ono zadłużonem ani w połowie i to, co po zapłaceniu długów zostanie, zawsze nam jeszcze na utrzymanie wystarczy — a oprócz tego mamy jeszcze indemnizacyę i jakieś należytości bierne. Podzielniwszy się temi funduszami, będziemy mieli oboje dostatek: i ty będziesz miał dosyć środków do za-

kupienia wsi innej i dla mnie pozostanie aż nadto. Postąpienie takie — mówiła dalej poczciwa matka, kłamiąc własnemu sercu — co do mnie, będzie mi nawet bardzo na rękę. Życie na wsi nie jest już dzisiaj tem, czem było dawniej. Żyje się tutaj tak kosztownie jak w mieście, a nawet jeszcze kosztowniej. I ja już nie jestem taką, jak dawniej. Jeździć codzień do kościoła o pół mili, to już nad moje siły; nie mieć lekarza i apteki pod ręką, to już prawie ofiara. Nic niemasz pożądańszego dla mnie, jak zamieszkanie w mieście. A dla ciebie także to będzie dogodnem. Ty sobie kupisz jaką wieś mniejszą i będziesz miał na niej egzystencyę, wprawdzie skromną, ale za to swobodną. Nie zechcesz tego, to możesz zamieszkać w mieście i oddać się naukom, które tak lubisz; możemy nawet razem zamieszkać we Lwowie albo w Krakowie, a tak będzie nam jeszcze lepiej. Z pewną obawą przekładam ci ten projekt, bo wiem, że ci żal Zawisłocza. I mnie go żal trochę — ale cóż robić! Życia nam żal jeszcze więcej, a przecież je porzucamy z pokorą i rezygnacyą. Nie ma tu zresztą innego środka—a wierz mi, nie jest on jeszcze tak złym, abyśmy musieli rozpaczać.

Kiedy to matka mówiła, Karol patrzał na nią z początku z pewnem niedowierzaniem—ale widząc ją tak spokojną i tak jednostajnie pogodną, niezmiernie się tą propozycyą ucieszył. On od tygodnia o niczem innem nie marzył, jak o sprzedaży ojcowskiego majątku: to była jego idea; jego kaprys, jego fantazya; jeżeli zaś o niej nie wspomniał, to tylko przez wzgląd na matkę, o której myślał, że

bez wielkiej boleści nie potrafi się od Zawisłocza oderwać; ale teraz matka sama mu tę myśl narzuciła. Karol nie posiadał się z radości.

Jakoż natychmiast postarał się o to, ażeby postanowienie sprzedaży rozeszło się między ludzi.

A zaledwie wieść o tem mogła się wynieść za bramę, tego momentu zdarzył się kupiec.

Był nim naturalnie Kacki.

Przyjechał on do Zawisłocza, poszedł do pokoju Karola i tak mówił:

— Słyszałem, że wielmożny pan chcesz sprzedać Zawisłocze. Dobrze to pan dobrodziej robisz, bo ten Skiba takich tu głupstw ponarabiał, że aż włosy wstają na głowie. Jeszcze i mnie za sobą pociągnął, a ja, za pozwoleniem, osioł jak zawsze, gdziem mógł, tom pieniędzy dobywał, a dawałem. No, nie stracone to rzeczy dla mnie; ale mi żal pana dobrodzieja serdecznie, bo to strata jest wielka. Dużoby o tem mówić...

— A niema wcale potrzeby—przerwał mu Karol—mówmy zatem o Zawisłoczu.

— Otóż co do tego interesu — mówił dalej Kacki — to, panie dobrodzieju, to jest wielki interes, trzeba dużo pieniędzy. Ja biedny człowiek, może i nie stać mnie na to. Ale myśląc ja sobie, że tu jest jakiś dług towarzystwa... a może i szparkasy?

— Nie, niema szparkasy.

— A innych długów niema?

— Żadnych niema, prócz towarzystwa.

— To bardzo źle. To trzeba dużo pieniędzy. No, ale myśląc ja sobie, że i ja tu mam jakichś kilkanaście tysięcy, więc jeżelibyś się wielmożny pan

bardzo nie drożył... Wieleż wielmożny pan żąda za Zawisłocze?

— Mój panie Kacki — rzekł na to Karol — znasz Zawisłocze, nie potrzebuję ci go opisywać. Cena jego jest sto tysięcy.

— Sto tysięcy! — powtórzył Kacki, niby bardzo zdziwiony — a długi?

— Długi wszystkie ja płacę.

Jakoż zaczęto zaraz targ, który poszedł nadspodziewanie, bo kupujący ofiarował natychmiast dziewięćdziesiąt tysięcy, niebawem dziewięćdziesiąt i dwa i trzy i cztery. Gdyby się Karol był trzymał, byłby z łatwością dostał sto całkowitych, ale przez niecierpliwość dwa spuścił, a tak stanęła zgoda na dziewięćdziesięciu i ośmiu. Poczem mówiono już tylko o czasie, w którym kontrakt ma być spisany i wypłacone pieniądze. Kacki żądał dłuższej odwłoki i żądać jej musiał, bo szambelan był na Podolu — a Karol nie chciał na nią zezwolić. Zgodzono się wszakże na dni czternaście i oznaczono piętnasty dzień kwietnia na przedłożenie wyciągu hypotecznego, spisanie kontraktu i danie części pieniędzy; wypłatę zaś reszty należności wymówił sobie Kacki do św. Jana, na co Karol przystał bez sporu. Jeszcze może nigdy kupno tak znaczne nie zostało uskutecznione tak prędko — ale też jeszcze nigdy sprzedający tak upornie sprzedaży nie łaknął i może nigdy kupujący tak długo na swoje kupno nie czekał.

Rachunek tego interesu był następujący: Dług towarzystwa wynosił przeszło dwadzieścia tysięcy, a inne zaległości i długi także przeszło dwadzieścia

tysięcy — pozostawało zatem Karolowi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, inwentarze żywe i martwe, woły stojące na stajni i długi bierne. Były to zatem środki dla skromnego człowieka jeszcze dość dostateczne do przyzwoitego wyżycia. Spodziewana indemnizacya wynosiła przeszło czterdzieści tysięcy, a już natenczas płynąca od niej renta przeszło dwa tysiące—zaczem i matka Karola miała zabezpieczone utrzymanie dość znośne.

Ale rachunek ten wykazuje zarazem, iż lubo interesy były w tej chwili przez nieopatrznego Skibę niesłychanie zwikłane, jednak położenie rzeczy było jeszcze takiem, iż niepodobna jest, ażeby się nie można było bez sprzedaży zeń wyratować. Widać tu bowiem już na pierwszy rzut oka, że indemnizacya pokrywa wszystkie długi zupełnie — a więc Zawisłocze właściwie jest już dziś czystem. Zachodzą tu wprawdzie te niekorzystne okoliczności, że kapitał indemnizacyjny nie jest płynnym, powtóre, że nawet i stopa procentowa tegoż kapitału nie wyrównywa stopie procentowej pozaciąganych przez Skibę długów, a nareszcie, że te długi są tego rodzaju, iżby je trzeba zaraz popłacić; ale jużby to była cała drewniana głowa, którąby nie zdołała temu złemu zaradzić. A przecież połowa długów, t. j. dwadzieścia tysięcy towarzystwu należnych, nie muszą być zaraz spłacone i wyrównywają stopą procentową indemnizacyi, a więc tak jakby ich całkiem nie było. Pozostaje zatem do spłacenia tylko druga połowa długów — na które jest co do sumy kapitału tyleż indemnizacyi, są dochody z całego Zawisłocza, są woły na stajni, są jakieś długi bierne

i jest nareszcie samo Zawisłocze z inwentarzami, lasami, łąkami, propinacyą i młynem, a więc ze źródłami takiemi, o których niepodobna pomyśleć, ażeby w razie potrzeby nie wytrysnęły jakąś znaczniejszą gotówką. Trzebaba chyba być takim transcendentalnym teoretykiem w gospodarstwie jak Skiba, ażeby w tak małem błotku ugrzęznąć i aż sprzedażą swej ojcowizny się z niego dobywać. A zresztą choćby się też i pomozolić cokolwiek, choćby i trochę pocierpieć, to czyż nie warto nawet i dobrze pocierpieć, ażeby się utrzymać w posiadaniu ziemi ojcowskiej?

O tem wszystkiem nie mógł Karol nie wiedzieć—ale któż nie zna naszych szlacheckich kaprysów, uporu i tych najrozmaitszych fantazyi, na które niemasz lekarstwa? Sprzedaż Zawisłocza była jego fantazyą. Jakoż ucieszony tak doskonale zrobioną zgodą z Kackim, pobiegł on z tą nowiną do matki. W samej istocie rzeczy taki obrót tej sprawy, zwłaszcza po tylu zgryzotach, które wycierpiała staruszka, był jeszcze dla niej dość znośnym, znośnym zapewne tak, jak lżejsze kajdany po cięższych, a może najznośniejszym dlatego, że był tak nagłym. Przyjęła też tę wiadomość pułkownikowa z zadowoleniem — ale natychmiast zarządziła wszystko po temu, ażeby mogła Zawisłocze jak najprędzej opuścić. Wysłano zaraz nazajutrz wiernego sługę do Tarnowa dla wyszukania odpowiedniego mieszkania dla pani, a kiedy to się niebawem znalazło, zaczęto pomału pakować rzeczy staruszki i do Tarnowa wyprawiać...

Działo się to wszystko niby dosyć spokojnie

i ładnie — ale jeżeli kiedy było piekło cierpienia w domu, to teraz. Nikomu to bowiem nie było tajno, iż jeszcze były, a przynajmniej być mogły środki rstunku—a przecież najnieszczęśliwszem zdarzeniem, trzeba było się poddać tak okropnemu losowi. Biedna matka Karola cierpiała nad tem okropnie. Cierpiała nad sobą, że na lat kilka, na kilka miesięcy, a kto wie, może tylko na dni kilka przed grobem, musiała opuszczać te miejsca, w których całe życie przeżyła i iść wycierać cudze kąty domiasta—cierpiała nad swemi sługami, nad sierotami, które wychowała od dziecka, a teraz musiała porzucać—najwięcej wszakże cierpiała nad swoim synem, który się takim niedołęgą okazał, a może gorzej, może tak złym i nieczułym, że się nie umiał poświęcić nawet dla swojej matki. Krwawe to były łzy, któremi natenczas ta biedna staruszka płakała— oh! a ileż ich wypłakała! — Ale milczała. Nigdy przez te dni wszystkie nie było widać w jej oku łzy jednej, nigdy smutku na jej poważnej twarzy, nigdy najmniejszej chmurki na czole. Z niesłychaną mocą niezłomnej duszy, z nadludzką siłą zdruzgotanego serca, znosiła ona ten cios okropny — na srom, na hańbę tym teraźniejszym młodzieńcom i mężom, którzy nie umieją wstąpić nawet w ślad starodawnej kobiety!

Lecz nie mniej także cierpiał nad tem i Skiba, o mało, że pomieszania zmysłów nie dostał. Przedewszystkiem bowiem czcił on tę zacną staruszkę jak świętą, patrzał na nią uważniej niż Karol, a zatem wiedział, co ona cierpi. Widzieć te jej cierpienia, nie być w stanie jej pomódz, a co najgorsza, wie-

dzieć, że to on sam te cierpienia zgotował, było dla niego srogą męczarnią. Powtóre, czuł on to w swojem sercu, był przekonanym, że ratunek jest jeszcze możebnym—ratunek ten przynieść mógł Karol, mógł, gdyby był tylko chciał być człowiekiem — lecz nie chciał. I taki Karol był jego uczniem! Strawić więc życie całe, tyle poświęcić trudów, zabiegów, pracy, aby wychować człowieka—a wychować takiego mazgaja—to jest okropna, to rozpacz. Skiba sobie darł włosy z głowy, wił się jak wąż w najstraszliwszej boleści, byłby dał życie swoje za jedno słowo Karola—lecz próżno. On nawet mówić nie mógł o tem, bo wszakżeż to on był sprawcą tego nieszczęścia. A zatem milczał—i nawet nie dał poznać tego po sobie, że cierpi tak, jak i matka...

Tak więc cierpieli wszyscy naokoło Karola — a on o tem ani wiedział. Nie myślał o tem, nie zwracał na to uwagi, nie odgadł tego, czego nie widział, lubo to było tak naturalnem i prostem. On, cały zajęty swoją sprzedażą, myślał już tylko o tem, jak będzie swobodnym z gotowemi pieniędzmi, jak ich dla siebie użyje. I może nieźle z tem myślał, bo w samej rzeczy marzył tylko o nowej do Paryża podróży, o naukach tamtejszych, które tak stoją otworem dla wszystkich, o nauce historyi, którą tak namiętnie ukochał. Aleć te obowiązki człowieka, to dziś, które nam ciężą na barkach, to jutro, które nas czeka za progiem, ważniejsze są od najpiękniejszych historyi!

Tak przyszedł nareszcie piętnasty dzień kwietnia. W tym dniu, jak to już wiemy, miał przybyć Kacki, ażeby sprawę kupna ukończyć — i w tym

dniu także miała pułkownikowa wyjechać z Zawisłocza. Pilnujący swoich spraw kupiec przyjechał ze swoim prawnikiem już o godzinie dziewiątej rano i chciał się brać zaraz do spisania kontraktu. Karol nie miał nic przeciw temu — ale pułkownikowa, która tylko na zjawienie się tego złego ducha czekała, ażeby przed nim ustąpić, powstrzymała ich na małą chwilkę w swojej komnacie bawialnej, ażeby jej zaprzężono tymczasem i aby mogła wyjechać, nim się zacznie pisanie kontraktu. Kiedy jej zaprzęgano, rozmawiała jeszcze z Kackim, opowiadając mu, gdzie jakie szczepy są po ogrodach, jakie wydają owoce, gdzie się znajdują inspekty, gdzie brzoskwinie, morele i winogrona. Opowiadała mu przytem, z jakim to trudem i kosztem wypielęgnowała ona te drzewka, jak to są rzeczy pożyteczne i miłe a rzadkie, jak je zatem trzeba chować starannie i chronić od mrozów i wiatrów. Przystąpiła potem do ludzi i polecała mu niektórych gospodarzy ubogich, potrzebujących pomocy, innych, którzy są chorzy i jak tym chorobom trzeba radzić, a nareszcie jego osobliwszej opiece poruczała sieroty, które sama pozbierała po drogach, powychowywała, a teraz tylko Boskiemu i jego poleca je miłosierdziu...

Tego wszystkiego słuchał Karol z nadzwyczajnem zajęciem, a lubo matka opowiadała te rzeczy jak najnaturalniej i z tą równowagą umysłu i serca, która ją nigdy nie opuszczała—jednak on jakoś zaczął tracić swą równowagę pomału i uczuł się dziwnie wzruszonym. Zamyślił się przytem, ckliwo mu

się zrobiło i zdało mu się, jak gdyby jakąś wilgoć uczuł w swych oczach...

Tymczasem zajechała wypakowana przed ganek kareta, a pułkownikowa wyszła do swojej dawnej sypialni, aby się ubrać do podróży.

Za chwilę potem pokazała się w progu, ubrana w płaszczyk, kapelusz i trzymając laseczkę w ręku. Tam się zatrzymała na oka mgnienie i obróciła się jeszcze raz ku swojej sypialni. Zdawało się, jakby coś zapomniała. Ale nic ona nie zapomniała, tylko chciała jeszcze raz rzucić okiem na ten kącik swój ulubiony i po raz ostatni go pożegnać. Karol popatrzył na nią z boku i ujrzał, że łzy strumieniami płynęły po jej zgrzybiałych licach. To go wzruszyło do głębi i zdawało mu się, jakby się sam zachwiał na nogach.

W tej chwili wszakże staruszka przezwyciężyła się ostatecznie, zerwała się raźnie i puściła krokiem tak szybkim przez środek komnaty ku drzwiom otwartym, jak gdyby się nie chciała z nikim pożegnać, tylko dopaść karety i uciec czemprędzej.

Widząc to Skiba, chwycił się obydwiema rękami za głowę i drżał cały jak w febrze, a jego oczy kąpały się we łzach.

Jakoż istotnie, widzieć było tę biedną matkę, jak przygarbiona starością, zalana łzami i opierająca się na laseczce, wybiegała tak szybkim krokiem ze swego domu, ażeby swoje zgrzybiałe kości ponieść gdzieindziej — widzieć było tę starość, tę rozpacz, ten ból, te łzy, i nie zapłakać — trzeba było chyba nie być człowiekiem.

A! przecież Karol był także jakimś człowiekiem!

To też w tej chwili spłonął cały od wstydu, łzy mu trysnęły z oczu i rzucił się w objęcia staruszki.

— Nie, matko moja!—wołał on, łkając—nie! ja tego nigdy nie zniosę!

Na widok tego Skiba rzucił się z wzniesionemi ramiony ku niemu, wołając głośno:

— Karolu! życie dam moje za ciebie, a nie puść matki z jej domu!

Staruszka, która zapewne już przed tem była tak skołataną, że nie bardzo była przytomną, zaledwie teraz mogła zrozumieć, co się z nią dzieje; jakoż rzekła przez łzy:

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie odemnie?

— Nie, matko moja!—zawołał Karol—będę chodził w siermiędze, poprzestanę na suchym kawałku chleba—a Zawisłocza nie sprzedam!

A to mówiąc, wziął matkę pod ramię i przy pomocy Skiby zaniósł ją prawie napowrót do jej sypialni. Tam ją posadził na krześle i padł przed nią na kolana, tuląc swoją spłakaną twarz na jej łonie...

Za oka mgnienie wybiegł Skiba z sypialni, przebiegł uskrzydlonemi nogami komnatę, wskoczył do sieni i zawołał do ludzi:

— Hej! wyprzęgajcie! pani już nie pojedzie.

Zaczem wrócił napowrót do gości; ale jak gdyby ich wcale nie widział, przechadzał się po komnacie, zaledwie dotykając się ziemi, zacierając

ręce z radości, śmiejąc się głośno i mrucząc coś ciągle do siebie.

Nie mało tem zadziwiony Kacki ze swoim prawnikiem, siadł na kanapie, czekając z niecierpliwością, co z tego będzie.

Za chwilę potem wszedł Karol. O! jakżeż on teraz całkiem inaczej wyglądał! Mężczyzna piękny, wyniosły, miał on coś wspaniałego w swojej postaci. Na jego wysokiem czole siedziała myśl, ten niezatarty ślad ducha, co jak rumieniec w owocu, dojrzałości jest cechą. W jego oczach połyskiwał ten blask spokojny a świetny, który być może tylko wyrazem tej równowagi, pewności siebie i jasności umysłu, o jaką próżno się kusić bezczynnej a rozmarzonej młodości. Na jego ustach, cokolwiek w tem oka mgnieniu ściśnionych, widać było tę męzką, stanowczą i niezachwianą wolę, która dopiero co się w nim objawiła, jak gdyby go odrodziła nanowo i była zarazem już prawie pewną rękojmią jego całej przyszłości. Tak wszedł on teraz, z ręką założoną za pierś zapiętą surduta, z powagą i stanowczością w całej swojej postaci i rzekł do dzierżawcy Borówki:

— Mości panie Kacki, bardzo pana przepraszam, że muszę się cofnąć od zrobionej pomiędzy nami umowy. Ale widzisz pan sam, że postąpiłbym sobie najniewłaściwiej, gdybym jej chciał dotrzymać.

— A jakto, panie dobrodzieju? — zawołał na to Kacki—to pan mi już Zawisłocza nie sprzeda?

— Nie.

— A jakże-to, panie? to ja tyle kosztów poniosłem...

— Koszta te panu nagrodzę.

— Hm! ale to, panie dobrodzieju, pan sobie z tem rady nie da na żaden sposób...

— O to się pan nie troszcz bynajmniej, to moja rzecz.

— Ba! ale to panie dobrodzieju i moja także. Bo ja tu mam przecież kilkanaście tysięcy, które w takim razie trzeba zaraz zapłacić...

— To, co się panu należy, będzie wypłacone, jak tylko można najprędzej.

— Ale, panie dobrodzieju! to nie można najprędzej, to trzeba zaraz, bo te weksle już dawno przepadły...

— Weksle, podpisane przez pana Skibę — dodał Karol dobitnie — które ja panu obiecuję wypłacić. Jeżeli panu jeszcze i to nie na rękę, to możesz zanieść skargę do sądu. Ale pamiętaj o tem, mój panie, że w takim razie ja mogę złożyć tę sumę w sądzie, a pana się kazać zapytać, jaką to drogą przyszedłeś do tych pretensyj. Rozumiesz mnie? Zaczem bądź zdrów. Jak go będę potrzebował, to poślę po niego.

Z tem się obrócił i wyszedł napowrót do sypialni swej matki.

Tak ten nieszczęsny rozbitek przecież nareszcie na jakiś brzeg stały wypłynął. W tej chwili widzimy w nim już całego człowieka, który staje na jakiemś stanowisku, bierze coś przed się i otwiera

sobie drogę jakiejś pewnej i oznaczonej przyszłości. Życzymy mu z serca, ażeby się na tej drodze z powagą i wytrwałością utrzymał — a lubo ta rola, którą przyjmuje na siebie, wydaje się ciasną i małą, jednak możemy go z góry zapewnić, że i ta rola, pojęta dobrze i odegrana umiejętnie, może go kiedyś zadowolić zupełnie.

II

Od tego momentu całkiem inny duch wstąpił w mieszkańców zawisłockiego dworu. Postanowienie Karola nie zmieniło jeszcze dawnego stanu rzeczy ani na jotę, a przecież druga połowa tego jakżeż była niepodobną do pierwszej i do wszystkich dni upłynionych! Dotąd każdy zgarbiony, osowiały i jakby struty, dzisiaj się czuł orzeźwionym, odrodzonym nanowo i śmiało spoglądał w przyszłość. Albowiem już samo postanowienie, będące skutkiem gorącej wiary w swe siły, jest połową wygranej. Potem już tylko wytrwałości potrzeba — a wszystko inne samo się znajdzie i pewnie nie minie zwycięztwo.

Powziąwszy tedy tak stanowcze postanowienie, ażeby się przy Zawisłoczu utrzymać, Karol się wziął z odpowiednią energią do rzeczy. Umiał on nawet w ten moment ocenić całą krytyczność swojego położenia i zwrócił przedewszystkiem wzgląd na to, ażeby przez zbytek ufności w swe siły nie włożyć odrazu zanadto obowiązków na siebie, którymby

nie mógł podołać. A mogło się to stać bardzo łatwo, bo właśnie wtedy wiosna się zaczynała i zdawało się rzeczą niezmiernie ważną zaraz i w gospodarstwie rolnem stanowcze zmiany poczynić, a nawet poprostu cały ster jego we własną wziąć rękę. Czyn jednak taki byłby był w tym wypadku najniewłaściwszym. Jak bowiem Skiba głównie przez to pobłądził, iż odrazu, gwałtownie i radykalnie, cały system gospodarstwa zawisłockiego na inną stopę przerzucił, tak i Karol byłby pobłądził, gdyby przez prędkość był to wszystko zrujnował, co Skiba z takim mozołem i kosztem doprowadził do skutku.

Radykalizm, zastosowany przy obejmowaniu zarządu nad jakimbądź mechanizmem skomplikowanym, nie powiem, ażeby kiedyś nie mógł przynieść pożądanego skutku, ale na razie bywa zawsze niesłychanie kosztownym. Widzimy to najdowodniej na państwach, które ilekroć przedsięwzięły w administracyi zmianę radykalną a naglą, zawsze się tak powikłały pod finansowym, a nawet częstokroć i politycznym względem, iż rzadko kiedy ta sama ręka wywiodła je z tych wikłanin, która je w nie wprowadziła. W gospodarstwie jest także tak samo. Każdy nowy gospodarz, jeżeli się nie chce na niechybne narazić straty, musi w swym gospodarskim obrębie być konserwatystą—a przynajmniej pod żadnym warunkiem nie wolno mu być rewolucyonistą. Konserwatyzm, ustępujący powoli i z namysłem wymaganiom postępu, oto jest, naszem zdaniem, najwłaściwsza dla gospodarza zasada. Taką też zasadę przyjął Karol na całą przyszłość dla siebie — i zastosował ją w swojem zachowaniu natych-

miast, chociaż właściwie w przeciwnem od wszystkich innych znajdował się położeniu. Mając wszakże i w tem położeniu głównie to na uwadze, iż jakikolwiek już zaprowadzony porządek ma zawsze tę wielką korzyść za sobą, że już istnieje—a każdy dopiero się zaprowadzić mający tę równie wielką niekorzyść, że go dopiero zaprowadzać potrzeba, na pierwszy moment tylko o tyle zajął się gospodarstwem rolnem, ażeby się przekonać, czyli istotnie w niem jaki porządek istnieje i jakie jest jego istnienie. Przekonawszy się zaś, że Skiba zaprowadzonemu przez siebie systematowi ślepo był wiernym i istotnie taki miał w domu i w polu porządek jak w najlepszym zegarze, na początek nie zmienił nic i zostawił bulawę polną i domową przy nim, jak była.

Sam zaś rzucił się przedewszystkiem na departament finansów.

Na samym wstępie niemale spotkał trudności, Skiba bowiem, jak z jednej strony tak wielką ilość zaległości namotał, że oprócz weksli i egzekucye i sekwestracye siedziały jak zmory na karku, tak znowu z drugiej prawie wszystkie te źródła, z których można było spodziewać się jakiejś znaczniejszej pomocy, pozabieranemi drobnemi nadpłatami i zobowiązaniami tak pomącił i popieczętował, że niepodobna było do nich przystąpić. Prócz tego, były to czasy pod względem finansowym najfatalniejsze i stan ten codziennie się jeszcze pogarszał. Ale Zawisłocze, wieś reputacyi najlepszej, firma nowa, jeszcze wprawdzie nieznana, ale też nie zepsuta, a do tego energia rozumnego młodzieńca, jakoś

pomału pootwierały sobie te drogi, które dla Skiby były całkiem zamknięte.

Tak przedewszystkiem zaczął on chodzić koło młynarza i propinatora, usiłując ich zniewolić do zrobienia umowy na lat sześć albo więcej i do zaliczenia należytości z góry. Byli to ludzie pieniężni i mogli to zrobić; długo nie chcieli, ale nareszcie dali się namówić. Wpłynęło stąd zaraz kilka tysięcy. Po nich wziął się Karol do lasu. Skiba tam coś posprzedawał, jakieś drzewa materyałowe, jakieś sągi, za co wszystko wziął jakąś sumkę niewielką; Karol sprzedał sto morgów lasu na pniu, do wycięcia na lat sześć, i wziął większą połowę należności natychmiast. Trzeciem źródłem, w które uderzył, były gorzelnia i łąki. Gorzelnia potrzebowała restauracyi bardzo maleńkiej a żydzi, pamiętający do dziś dnia te czasy, kiedy z półgorzelnianej rurki lało się płynne srebro i złoto, zawsze mają na nią niesłychane łakomstwo. Nie były to czasy dla gorzałczanej produkcyi korzystne, ale Karol rozmaitemi dodatkami, a głównie dodatkiem zbioru siana z sześćdziesięciu morgów łąk i pozwoleniem wyrestaurowania piwnego browaru, tak ich umiał zachęcić, że zrobili umowę trzechletnią i także zaliczyli znaczną sumę pieniędzy. Uskuteczniwszy te trzy operacye, Karol już z całej piersi odetchnął. Interesa te, ściśle je wziąwszy, były jak najmniej korzystne, na prawdę Karol sobie poły ucinał; ale któż o tem wątpi, że lepiej utracić poły, aniżeli całą siermięgę? — Zawisłocze było uratowane. — Nie popłacił on jeszcze wszystkich długów, ale strącił co naglejszą połowę — a te, które zostały, miał czem

odroczyć i wiedział, że będzie je miał z czego opłacić.

Nie ustał wszakże na tem. Jakoż natenczas rzucił się do ojcowskich dłużników, przeglądając z pilnością, od których-by mógł coś odebrać. Od tych dłużników Skiba nic nie mógł wydobyć, a zniecierpliwiwszy się ich nieczułością, powytaczał im procesy. Karol postąpił sobie z nimi wcale inaczej. Wiedział on bowiem najpierw, iż włóczenie się między sobą po sądach, w okolicznościach zwłaszcza takich, w jakich my dziś żyjemy, powinno być rzeczą ostatnią — a powtóre wiedział i to, iż największa część dłużników głównie dlatego nie uiszcza się z długów, iż są za leniwi, za obojętni, za opieszali, ażeby poszukać środków, któreby im do wypłacenia się z długu pomogły. Zmusić ich do tego sądownie jest zapewne drogą najprostszą, ale niezawodnie i zacniejszem jest to, jeżeli wierzyciel sam się zatrudni wyszukaniem tych środków i sam je poda swoim dłużnikom do ręki. Tak zrobił także i Karol—tym sposobem nie tylko, że się wobec dłużników ochronił od zarzutu o nielitościwość i nieuwzględnienie tych czasów fatalnych, ale zarazem i cel swój choć w części osięgnął. W jednem miejscu bowiem przekazano go z długiem do kogoś pieniężniejszego, który się natychmiast wypłacił, w innem przelano na niego indemnizacyjną zaliczkę, w trzeciem dano mu jakieś inwentarze zbyteczne, w czwartem jakiś folwarczek w dzierżawę, który subarendował — a tak przecież odebrał przynajmniej to, co się odebrać dało bez wielkiego ucisku, i bardzo się tem poradował. Około Zielonych Świąt do-

pasł nareszcie te woły nieszczęsne, w które przebiegły Ka....cki tak po łotrowsku ubrał biednego Skibę, i jako tako je sprzedał — czem pospychał ostatki długów i zaległości, jeszcze to tu, to owdzie się błąkających. O św. Janie żmudna ta praca była już ukończoną — a Karol mógł śmiało każdemu popatrzeć w oczy, bo nie był nikomu winien ani jednego grosza. Mógł nawet z pewną dumą spojrzeć na siebie samego, bo pracą, wytrwałością, energią, przełamał, zwalczył, rozproszył okoliczności tak nieszczęśliwe, w których już inni tonęli, ba! przed któremi on sam ugiął kolano na chwilę i już miał cofnąć się przed niemi.

Praca ta kosztowała go trudów niezmiernie wiele: zgadał się nieraz tak, że mu głosu zabrakło w piersiach, naponiewierał się po podróżach jak komornik lub sekwestrator, zmęczył się czasem scenami takiemi, przed któremi może niejeden byłby uciekł i wszystkiego się wyrzekł — ale kiedy się to wszystko skończyło, to się i zapomniało, a zostało zwycięztwo świetne i piękne, a jakże miłe dlatego, że własnemi odniesione rękami! Radość ta, która Karola wtenczas objęła, nie da się z niczem porównać, chyba z radością poczciwej matki i tak serdecznego przyjaciela, jak Skiba, któremu się natenczas zdawało, że nad to szczęście, którego doznaje, nie masz większego na całej ziemi.

Postanowienie ratowania Zawisłocza własnemi siłami, szczęśliwie doprowadzone do skutku, przyniosło Karolowi nieocenione i wielorakie korzyści, których i my nie możemy przepomnieć, choćby tylko dlatego, ażeby wykazać, jak każda rzetelna pra-

ca, każde przezwyciężenie naszej leniwej, ospałej, a często i niedbałej natury sowicie nam się wypłaca. I tak najpierw przyniosło mu korzyść materyalną bardzo znaczną, albowiem pomimo to, iż przez te operacye pieniężne dochody Zawisłocza tak znacznie uszczuplił, nie umniejszył wcale jego realnej wartości, czego najlepszy dowód złożył mu znany nam już Ka.... cki, ofiarując mu dzisiaj tę samą sumę za Zawisłocze, co dawniej. Powtóre, przez wzięcie się do tej pracy wstąpił na drogę rzeczywistego zajęcia, rzecz bardzo ważna dla każdego młodzieńca — a przez utrzymanie się przy swej ojcowiznie zajął stanowisko obywatelskie w swem społeczeństwie, stanowisko w dzisiejszych galicyjskich stosunkach wprawdzie już bardzo ograniczone, okrojone i podupadłe, lecz w naszej rolniczej Polsce zawsze jeszcze wiele znaczące i ważne. Po trzecie, wyratowawszy swoją ziemię ojczystą z niebezpieczeństwa przejścia w niegodne, a przynajmniej wątpliwe ręce, położył już tem pewną zasługę, złożył dowody swojego dobrego usposobienia i swojej męzkiej dzielności, która nie przeszła niespostrzeżona w sąsiedztwie i zjednała mu uważanie u braci. Wreszcie zaś przez ten trud, przez tę pracę tak żmudną, którą już sam włożył w tę ojcowiznę, przywiązał się do niej, ukochał jakby uosobioną cząstkę siebie samego, potrafił uszanować jako takąż samą cząstkę swoich ojców i dziadów—a przez to ugruntował w sobie tę miłość, która nie tylko jużby mu teraz nie dopuściła była pozbyć się tej ojcowskiej puścizny tak lekkomyślnie, lecz zniewalała go także

do tem troskliwszego pracowania koło niej na przyszłość.

Z taką też ciepłą miłością wziął się teraz do gospodarstwa. Znalazł on i tu jeszcze trudności, może daleko większe, aniżeli w wypłaceniu się z długów. Gospodarstwo dziś, bez pańszczyzny, a jeszcze do tego w Galicyi, gdzie mu tak nieszczęśliwe towarzyszą warunki, o jakich wspomnieliśmy powyżej, jest niesłychanie żmudnem rzemiosłem.

Najlepsza ziemia, najłatwiejsza produkcya i najrostropniejsza głowa, jeżeli potrafią osięgnąć ten skutek, że opłacą podatki i z oszczędnością wyżyją, to już bardzo szczęśliwe są rezultaty. Gospodarstwo nasze, nawet tam, gdzie mają do dyspozycyi kapitałów tak wiele, ile ich każdej chwili potrzeba, są pracą ciężką, wymagającą ustawicznej baczności i pełną nieskończonych kłopotów — a cóż dopiero tam, gdzie kapitałów tych nie ma?—Karol, jak wiemy, wprawdzie długi popłacił, ale pozostał bez grosza. Taki stan jego kasy otworzył przed nim całą paszczę nieustających trudów i zgryzot. Musiał się przygotować na wielkie biedy, uzbroić w cierpliwość żelazną, opatrzyć w lisią ostrożność. Jakoż natenczas, chcąc czy nie chcąc, musiał on pójść za jedną z rad szamhelana: ubrać się w buty juchtowe, w kubraczek z grubego sukna i jąć się własnemi rękami wszystkiego. O! były to trudy niemałe. Wstawać raniej niż słońce, obchodzić obory, stajnie, stodoły, stać przy wydawaniu obroków, obiegać po kilka razy codziennie całe obszary roli, nadgladnąć przy każdej robocie, wszędzie czegoś uczyć, coś poprawiać, sto razy jedno powtarzać i wszędzie się

gniewać, zaledwie mieć czas do przyjęcia posiłku, a w wieczór całe godziny trwać na wypłatach i dyspozycyach — nadto zaś wszystko jeszcze przez całą noc myśleć o tem, czemby wypłacić robotników jutrzejszych, a często i zkąd tych robotników wydobyć, to już nie państwo, to jest rzemiosło, to praca. Ale Karol, władowawszy raz taką pracę na swoje barki, trwał w niej jak mąż—będąc tego pewnym, że tylko wytrwałość może go od powtórnego upadku ochronić, a nawet z czasem tę pracę jego znacznie umniejszyć, postępował po tej ciernistej drodze śmiało, wesoło i próżen trwogi o przyszłość.

Nie można też tego zataić, iż lubo początkowo znalazł się położeniu niezmiernie trudnem, nie brakło mu także i pewnych ułatwień, które po części już znalazł gotowe a po części sam sobie sporządził. Tak jednem z największych ułatwień było to wszystko, co przedtem Skiba porobił w roli. Rzeczy te były fatalnemi pod względem finansowym, bo sprowadziły za sobą długi, lecz miały one wartość realną, z której można było korzystać. Już bowiem sam podział ról, podział oparty na tej zasadzie, ażeby dawać jak najsilniejsze nawozy na mniejsze stosunkowo przestrzenie, był wcale mądrym, bo zapewniał zbiór plenny, a umniejszał kosztów produkcyi. Odcięcie kawałka roli pod rzepak, pszenicę i koniczynę i sprawianie go w większej części cudzym nawozem, było także korzystnem — a i wyłączenie z pod uprawy pól górnych i lichych miało także na początek swoje słuszne powody. Były w tem wszystkiem niektóre chyby, jak np. konieczne sadzenie ziemniaków w przepisanej ilości, kie-

dy się nie rodziły, jak niestosunek obszaru roli, przeznaczonej corocznie pod uprawę, do corocznego nawozu, którego przy takiej produkcyi karmy dla bydła mogło być więcej i t. p. — ale te chyby można było łatwo naprawić, a silnie nawiezione grunty, które dziś w trzecim roku już trzech ósmych części zapewniały plony obfite i pewne, stanowiły ułatwienie niezmierne. Prócz tego systematyczny Skiba wcale nieobojętnie się Karolowi przysłużył w domu, w oborze i stajni. Podchował mu bowiem już dwie warstwy młodzieży rogatej, karmionej suto i dziś już przerastającej swe matki—nie zmarnował mu koni, a nawet ich liczbę w dwójnasób powiększył—a wreszcie zaprowadził mu ład w całem obejściu, pomiędzy wszelką służbą, rzecz tak nieoceniona, a u nas do osiągnienia tak trudna. Karol tedy, zaprowadziwszy te i owe odmiany w porządku rolnym, przy których miał głównie wzgląd na to, ażeby bez uszczuplenia sił roli, jak największe na teraz wydobywać dochody, tak mu miezbędnie potrzebne, zresztą ile możności uszanował prace swego nauczyciela — a natomiast z całą energią się rzucił na zmianę systemu administracyi i domowego budżetu.

Tu hasłem jego stać się musiała oszczędność— i słusznie, bo bez niej do niczego się nie dochodzi. Nie obeszło się i tu bez trudności, z których i te i owe były po prostu nieprzełamane. Bo jak tu np. matce staruszce odmówić tych wszystkich rzeczy, do których ona była przyzwyczajoną przez całe życie? jak nie trzymać dla niej tych niezbędnych czterech anglezowanych koni, któremi zawsze jeździła,

kiedy i te konie nawet, tu urodzone i tu wychowane, na jej usługach strawiły swe życie? jakże jej nie dozwolić utrzymania tych kilku sierotek, kiedy zajęcie się temi dziećmi jest jej jedyną rozrywką i pobożnym uczynkiem, tak niezbędnym jej sercu? jak wreszcie nie dostarczyć pieniędzy na wyszywanie ornatów, haftowanie poduszek, stuł i dywanów, na dar do kościoła, kiedy te ofiary są dla niej tak koniecznemi, że gdyby je zaniedbała, toby nie miała ani snu, ani spokoju? Jak oprócz tego poodprawiać te stare sługi, które od dziecka służyły w tym dworze i siły swoje stargały na tutejszych usługach? jak nie dać staremu Kubie, Maciejowi, Janowi, dawnym ojcowskim włodarzom, woźnicom, lokajom, tej samej pensyi i ordynaryi, którą pobierali od ojca? A jak znów dawać to wszystko, kiedy dziś niema z czego?—Dziwnie się Karol mozolił, coby z tem począć: niepodobieństwem było przyjmować na siebie takie wydatki, bo nie było ich z czego zastąpić; niepodobieństwem równem zrzucić je z siebie, bo były one zacnemu sercu jak gdyby święte, były jak gdyby domową religią. Spierało się serce z rozumem, a żadne z nich nie mogło zwyciężyć,..

Ale na szczęście, jak to się dziać zwykło w każdej rodzinie, przyszła z pomocą matka i sama się zrzekła większej połowy swoich wydatków. Szczęśliwa matka, widząc Zawisłocze uratowane, a syna na takiej chwalebnej drodze, byłaby się wyrzekła wszystkiego. Jakoż i dopomogła do rozstrzygnięcia innych kwestyi pomniejszych. Tak zostawiono wszystkie sługi co zacne, a co niegodne pooddalano, gracyaliści zaś, którzy ubodzy, pozostali przy swojem, a któ-

rzy się zbogacili, widząc, że się czasy zmieniły, sami się pozrzekali części swych gracyi. Lecz co do sług nowych, poprzyjmowanych przez Skibę, postąpił sobie Karol wedle swej własnej potrzeby. Wogóle pod tym względem pozbył się tej, że tak powiem niemiecczyzny, której systematyczność zapewne, że się w końcu końców opłaci, ale u nas, nietylko że jest zwykle bardzo kosztowną, lecz często nie jest wcale potrzebną. Zaprowadziwszy tedy w każdym kąciku ile możności jak najściślejszą oszczędność i podzieliwszy się zajęciami ze Skibą, wezwał już tylko cierpliwości na pomoc i oddał się z rezygnacyą swojemu powołaniu, pracując pilnie, nie lękając się żadnych trudów i oczekując z ufnością swojej pracy owoców.

Wszystkie te zmudne i wielorakie zajęcia, któreśmy opisali powyżej, zajęły mu tak dalece jego czas wszystek i tak pochłonęły jego całą istotę, iż do tego momentu, lubo to już się żniwa zbliżały, nie przyszło mu nawet na myśl zapytać o dawnych znajomych. Co się działo z szambelanówną, co z Izydorem? kiedy się odbył ich ślub? jakie ich było pożycie? — co robił Bernat stary? co jego syn Antek i jego niestała Basia? czy się z nią także ożenił? czy Niemiec odniósł nad nim zwycięztwo? — o tem wszystkiem nic nie wiedział.

Nie można nawet powiedzieć, ażeby był tych rzeczy tak bardzo ciekawym. Widzieć Bernata i Antka, tych ludzi poczciwych, którzy go niegdyś uratowali od śmierci, byłoby mu było bardzo przyjemnem. Obaczyć Izydora, takżeby mu było nie sprawiło przykrości — ale chcąc widzieć jego. musiałby był

i Józię obaczyć — a to go wcale nie pociągało. Nie miał on do niej już dzisiaj żadnego żalu—nie umarł przez to, ani nawet swych dróg tak bardzo nie skrzywił, że za niego nie poszła; ale zawsze widok tej, która dla marnych błyskotek innego przeniosła nad niego, która mu niegdyś miłość przyrzekła dozgonną, a potem prawie się tego wyparła, nie mógł mu być pożądanym.

— Niech sobie będą szczęśliwi — myślał on w duchu — nie zazdroszczę im szczęścia i owszem życzę z całego serca, ale ja między niemi nie jestem wcale potrzebnym.

Takie było jego postanowienie i było ono bardzo chwalebnem. Po co on miał się pokazywać tam, gdzie jego obecność mogła wywołać tylko takie wspomnienia, które powinny były być zapomniane na wieki? —Ale to postanowienie wskazywało zarazem, że przecież jego dawna miłość dla Józi jeszcze nie całkiem w nim zgasła. Trzy lata czasu, wielka to przestrzeń, z jej upływem można wiele zapomnieć; lecz są uczucia, których ni czas najdłuższy, ni silna wola, ni najprzeciwniejsze okoliczności, nie zdołają utłumić. Czy w sercu Karola żywiło się jeszcze to całe uczucie, czy tylko jego wspomnienie, może obaczymy poniżej. Na teraz widzimy tylko tyle, iż był w jego sercu z tamtych szczęśliwych czasów głos jakiś, który się bardzo często odzywał. Nieraz odzywał się może daleko głośniej, aniżeli mu to było przyjemnem. Dlatego też tłumił go w sobie szlachetny młodzieniec o tyle silniej, a widząc, że mu się to nie zawsze udaje, postanowił sobie, jak najstaranniej tego wszystkiego unikać, coby ten głos

w nim ożywiało tem więcej. Ztąd poszło, że dotychczas jeszcze ani razu imienia szambelanówny nie wspomniał, o odwiedzinach u Izydora ani pomyślał, a nawet nie odważył się wstąpić do chaty Bernata, chociaż nieraz znajdował się od niej tylko o parę set kroków i chociaż dziwnie go tam ciągnęło serce.

Aż raz, był to dzień skwarny i właśnie żęto pszenicę na Zawisłockim łanie nad wodą, naprzeciw chaty Bernata, Karol, jak zwykle, wyjechał na koniu w pole i długi czas jeździł pomiędzy żeńcami i półkopkami, licząc i jednych i drugie i obrachowując, ile dziś w wieczór trzeba będzie wydać pieniędzy. Wzdychał przy tem nieborak z całego serca, bo rzepak, chociaż już był zebrany z pola i wymłócony, nie znalazł jeszcze do dziś dnia odpowiedniego kupca, jego kasa była nadzwyczaj szczupła— a tu żniwa szły całym pędem, a tu już jesienne zbliżały się zasiewy. Każdy dzień wtedy kosztował po kilkaset złotych. Zkąd tu nastarczyć pieniędzy? Jeszcze dzisiaj się jakoś wypłaci, może jeszcze i jutro, ale co począć pojutrze i dalej i jeszcze dalej!

Karol myślał nad tem, a głowa go bolała piekielnie.

A tymczasem żniwiarze, pomykając się raźnie zagonami, śpiewali pieśni wesołe, a ich głosy się rozchodziły po dalekich polach i lasach.

Bezwiednie słuchał Karol tych pieśni i mimowoli jakoś umysł jego się wypogadzał. Za przewodem Skiby znał on wszystkie pieśni ludowe, drukowane, pisane i niegdyś w uściech ludu żyjące, ale tych nigdy jeszcze nie słyszał. Nawet i tej melodyi

nie słyszał, tak wesołej, swobodnej i lekkiej, jak gdyby sama swoboda. Zdawało mu się, jak gdyby rano przed świtem znajdował się w gaju i słyszał chóry najswobodniejszych ptasząt. Było coś dziwnie lekkiego, coś raźnego, coś tak unoszącego się w tych głosach, że niepodobna było wobec nich pamiętać o jakichkolwiek smutkach lub żalach...

Karol spojrzał w siebie: smutnym był, uciśnionym, stłumionym, ale on tylko jeden był takim, a obok niego trzystu ludzi na łanie było wesołych, swobodnych, szczęśliwych. Możnaż-to, godzi się pamiętać o sobie w takim wypadku? Nie. Byłoby to nie po chrześciańsku, byłoby nawet nie po ludzku. Karol był chrześcianinem i był człowiekiem. Jakoż w tej chwili wcale nie zapomniał. Był jeszcze prócz tego szlachcicem, powinien być zawsze szlachetnym i był nim, rzucił więc bez namysłu swoje troski o ziemię i rzekł do siebie:

— Ciężko mi bez was, to prawda; ale kiedy wam tak lekko bezemnie, poganinem byłbym, gdybym za wami żałował! Cierpię ja twardo i nie prędko przecierpię, ale kiedym przez to ujął cierpień tak wielu, to się skarżyć na to nie będę, zniosę i przetrwam, a o ile mnie za to nie wynagrodzi moje przekonanie, Bóg mnie nagrodzi.

To mówiąc, zeskoczył z konia i wylazł na wierzch półkopka, a położywszy się na świeżo zżętej pszenicy, aby trochę odpocząć, oddał się myślom, pozwalając się im nieść wedle upodobania. Niemasz przyjemniejszej rzeczy, jak zrobić się listkiem zwiędłym i oddać się wichrom duchowym na łaskę. Jak się to wtedy nie pędzi, czego się to nie widzi, gdzie

się to nie zaleci. Jakoż i jemu Bóg nie wie, co się w tej chwili nie przesnuło przez głowę. Tu szlachta średniowieczna, nie umiejąca pojąć swego istnienia bez panowania nad niewolnikami i błąkające się jej niedobitki do dziś dnia, tam ten lud nieszczęśliwy, śpiący jak gąsienica przez tyle wieków, to znów Polacy, którzy się tyle razy zrywali do usamowolnienia wiejskiego ludu, a nigdy zamiaru tego do skutku doprowadzić nie mogli, to nareszcie Kościuszko, wyborny żołnierz, ale słaby polityk, a jeszcze słabszy naczelnik narodu, który to zrobić mógł, a nie miał do tego odwagi... Gdzieżbyśmy byli choćby tylko pod materyalnym względem do dziś dnia, gdyby natenczas był lud został usamowolnionym i uwłaszczonym! Jakieby dziś były gospodarstwa nasze, jaka pracowitość, jaki ruch skrzętny w całej naszej ojczyźnie! A czyżby za tem nie musiała była pójść także i oświata? Te myśli zaprowadziły go bardzo daleko i tak go pochłonęły całego, iż nic wcale nie widział ani około siebie, ani przed sobą.

Nie widział również, iż myśląc to, patrzał ciągle na chatkę Bernata, która stała dotąd na swojem miejscu i wyglądała tak zupełnie jak dawniej. Dopiero, kiedy się koło tej chatki jakiś ruch zrobił, przedmiot ten wpadł mu w oko i zaraz go z jego myśli obudził. Karol popatrzał tam i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał, iż z dziedzińca tej chatki wyjechał bardzo ładny, nizko przy ziemi idący powozik, zaprzężony parą eleganckich koników, a w nim siedziały jakieś dwie damy. Powóz wyjeżdżał bardzo pomału, a towarzyszyło mu pieszo aż do bramy

jakichś dwóch ludzi, którzy się tym damom bardzo nizko kłaniali; damy się wyginały z powozu i coś jakby tym ludziom nakazywały, poczem powóz wyjechał za bramę i ruszywszy wielkim pędem w okamgnieniu zniknął w chmurach żółtego kurzu. Karol stanął równemi nogami na półkopku, ażeby widzieć, dokąd ten powóz pojedzie: na prawo, czyli na lewo, ale nie mógł tego zobaczyć, bo grunty Zawisłockie były nizkie, a tamte zaraz z samego brzegu wysokie.

Zdarzenie to, lubo nic nie znaczące, jednak jakoś go poruszyło. Że tymi obydwoma ludźmi, którzy powóz odprowadzali, byli Bernat i Antek, to mu się zdawało być pewnem; ale kto były te damy? Jedną mogła być hrabina Izydorowa, ale kim druga? I cóż tu mogła robić hrabina? czy znów kto chory leży w tej chacie? czy ci rybacy znów kogoś wyratowali od śmierci? A zdawało się to bardzo podobnem, bo przecież te panie nie odwiedzały Bernata i Antka, którzy obydwa byli zdrowi.

To wszystko tak rozciekawiło Karola, że sobie kazał podać konia, dosiadł go i puścił się wbród przez Wisłokę.

Za małą chwilę był już na tamtej stronie i stał na tem miejscu, zkąd dopiero co powóz wyruszył. Stali tam także Bernat i Antek i rozmawiali ze sobą.

Zobaczywszy ich, zeskoczył z konia i rzekł:

— Jak się macie, moi kochani! Dawno już wybieram się odwiedzić was, ale wśród tych gospodarskich kłopotów nawet i na to nie było czasu. Myślałem, że który z was przecie pokaże się w Za-

wisłoczu, ale i wam jak widzę jakoś nie mogło się zebrać na to.

Obadwaj przewoźnicy kłaniali mu się, witając go z wesołością serdeczną, a Bernat rzekł:

— Jużeśmy nie pomału zgrzeszyli, żeśmy się dotychczas nie pokłonili jegomości na zamku, ależ to i u nas nie obywa się bez kłopotów.

— No, cóż to wam takiego dokucza? Powiedzcie mi, może wam będę mógł pomódz, a wielką mi to przyniesie pociechę.

— Ztrudna nam co jegomość pomoże—rzekł na to Antek—bo już nam pomaga kto może, a przecież bez skutku.

— No, cóż to takiego?

— Ot, co!—rzekł Antek—żonisko moje, jak zaniemogło o wiośnie, tak się nie może opamiętać do dziś dnia.

— Twoja żona? — zawołał Karol — toś ty się, Antku, ożenił? a z kimże? przecież nie z którą inną jak z Basią?.

— A jużci z Basią — odpowiedział młody małżonek z pełnym zadowolenia uśmiechem—i zrazu za łaską Bożą było nam dobrze i szło nam wszystko szczęśliwie. Ot! i chłopczysko jakieś Pan Bóg nam dał, co się tu bawi na przyźbie...

To mówiąc, wskazał Karolowi na dwuletnie chłopiątko, które ubrane w czystą koszulkę i czerwoną czapkę z pawiem piórkiem, bawiło się w piasku pod chatą.

— Ale jak znowu przyszła z kolei córeczka — ciągnął dalej stroskany mąż—tak mi Basia zaniemogła ostatnio i nie może się podnieść do dziś dnia.

Wolałbym już sam leżeć obłożnie, aniżeli się patrzeć, jak to biedactwo kwęka, a z sił opada codziennie.

— To mi cię żal, mój Antku, z całego serca— odpowiedział mu Karol, zamyślając się nad tem—ale chodźmy do chaty, niechaj też Basię zobaczę.

Z tem weszli do chaty. Dziwne wrażenie sprawiła na Karola ta uboga izdebka, w której niegdyś przeżył tyle dni, tak błogich i bolesnych naprzemian. Pięć lat z okładem już minęło od tego czasu—lecz mimo to, jakże żywo stanęło mu to w pamięci!— Cały oddech zatrzymał mu się w piersiach, tak go to wspomnienie wzruszyło.

Tymczasem na łożu, na łożu tem samem, na którem niegdyś cierpiał i kochał podwójnie zraniony Rozbitek, leżała teraz wycieńczona na siłach młoda żona rybaka. Była ona i dzisiaj tak samo piękna jak dawniej, tylko śmiertelna bladość pokrywała jej lica, a oczy jej, niegdyś tak żywe i tak jasnym błękitem świecące, były jak gdyby mgłami zakryte. Trzymała w tej chwili w ręku różaniec z metalowym krzyżykiem i oparta o kilka białych, a wysoko wypiętrzonych poduszek, zdawała się mówić pacierze.

Kiedy Karol z obydwoma przewoźnikami wszedł do chaty, Antek przystąpił do łóżka i rzekł do chorej:

— Patrzajno, Basiu, jakiego nam gościa Pan Bóg przynosi. Poznajesz-że jegomości?

Ale chora już go na samym wstępie poznała, a serdeczny uśmiech okrążył jej usta.

— Panu Bogu niech będzie chwała—rzekła ona

dosyć swobodnie — że jegomość sobie przecież nas przypomniał. A takem o to pana Boga prosiła!

— I wysłuchał cię Pan Bóg— odpowiedział jej Karol wesoło—miejże to sobie za dobry znak i bądź pewną, że cię i w czem innem wysłucha, jeżeli masz jeszcze jakie prośby do niego.

— Och! a cobym nie miała! A toż już leżę z jakie pięć miesięcy i ciężko mi się podnieść choć na godzinę. Już mi to lepiej teraz cokolwiek, już czasem stanę na chwilę na nogach, ale do zdrowia jeszcze mi daleko. Ale niech-no pan siada, ot tu na tej ławeczce, albo na żarnach, gdzie to niegdyś moja panienka siadała: takam rada, że pana widzę, że i miejsca mu znaleźć nie mogę.

— Dziękuję ci bardzo, moja Basiu kochana— rzekł Karol, siadając przy niej—ale mi powiedz najpierwej, co ci to właściwie brakuje?

Ale Basia, zamiast mu odpowiedzieć, obróciła się do męża i zapytała:

— I cóżeście uradzili?

— Ha! jużci trzeba jechać. Ojciec chyba pojadą sami.

— Gdzież-to jedziecie?—zapytał Karol.

— A gdzieżby indziej, mój panie! — odpowiedział mu Bernat—po doktora do Pilzna. Po doktora a do apteki, do apteki a po doktora, oto moje teraźniejsze podróże.

To rzekłszy chmurnie, wyszedł starzec z świetlicy, a Antek wyszedł za nim.

Basia odprowadziła ich wzrokiem i milczała przez chwilę z oczyma nieruchomie wpatrzonemi

przed siebie, poczem te oczy zaszły jej łzami i płakała przez oka mgnienie. Odgadł Karol natychmiast przyczynę jej łez, żal mu się zrobiło biednej kobiety i rzekł:

— Nie frasuj się tem, moja Basiu. Starzy są zawsze gderliwi, a Bernatowi pewnie nie z serca to idzie. Gderze, bo stary, ale poczciwy jest i pewnie ci nie żałuje ani trudu, ani pieniędzy.

Otworzyło się serce cierpiącej Basi i rzekła na to ze łzami.

— Och! żebyś jegomość wiedział, jak mi to przykro jest, że ten stary już tyle wydał pieniędzy na moją chorobę i jeszcze ciągle wydaje, tobyś się jegomość nie zdziwił, że ja tak płaczę. Jużbym wolała umrzeć, niż tak chorować. A to mnie gryzie jeszcze tem więcej, bo wiem to dobrze, że nie jest to żadna choroba, jeno kara Boża prawdziwa. Bo też i nic mi nie jest, nie boli mnie nic, jeno mnie taka niemoc opadła, jako to bywa za grzechy...

— A cóżbyś ty takiego zgrzeszyła — rzekł Karol pocieszająco—żeby cię Pan Bóg aż karał chorobą?

— Juźcim ja nie pogrzeszyła tak bardzo, jako się może komu zdawało, albo jak ludzie gadali. Jeździł ci do mnie ten Niemczyna, podobał mi się, bo grzeczny był i światowy; bałamucił mnie, że koniuszym zostanie u grafa i że się ze mną wtedy ożeni; ja sobie myślałam i tak i siak, ot jak zwyczajnie biedna dziewczyna... ale Pan Bóg to wie najlepiej, jeżelim co zawiniła. Ot! właśnieby też! nie tacy panowie tańcowali koło mnie, a czegoby mi też był nie dał sam graf! Ale zawszem ja ciężko zgrzeszyła.

żem tego chłopczyska bałamuciła tak srodze. Obraził się wtedy nieborak, nacierpiał się, już i pić zaczął nareszcie, a ja byłam tak zła, że nic na to nie uważała. I żeby nie moja panienka, która mi zaraz potem iść kazała za niego, to byłabym go może bałamuciła do dziś dnia. A to, powiadam jegomości, takie dobre chłopczysko, że już lepszego chyba niema na całym świecie. Otóż to za niego mnie Pan Bóg tak karze...

Bardzo się Karol zbudował taką wiarą w doraźność kary boskiej, ale ażeby ją pocieszyć, rzekł na to:

— Nie przeczę ja temu, że może to być kara boska; ale może też być, że cię Pan Bóg tylko doświadcza, bo i to bywa. Wątpię nawet, ażeby cię za to bałamuctwo karał tak srodze, bo jak uważam, była to prawie niewinna rzecz.

— Gdzie tam jegomość niewinna! Nigdy takie bałamuctwo nie jest niewinnem i nigdy też nie uchodzi bez kary. Albo to sam graf za co innego tak ciężko choruje, że już leży bez mała całe trzy lata?

— Jakto? — rzekł Karol nie pomału tą wiadomością zdziwiony—to pan Izydor doprawdy tak ciężko chory?

— A jużci tak. Czy to jegomość nie wie?

Bardzo się Karol nad tem zamyślił i rzekł:

— No, to niema co wcale zazdrościć szczęścia hrabinie?

Patrzyła znowu z kolei ze zdziwieniem Basia na niego i zapytała po chwili:

— Jakiejże, proszę pana, hrabinie?

Spojrzał na nią Karol i umilkł. Krew w nim zastygła. Mogłoż to być? Karol nie śmiał nawet zapytać. Ale niecierpliwość go piekła jak ogniem, jakoż rzekł wreszcie:

— Proszę cię, powiedz mi krótko, bo ja nic nie wiem. Czy pan Izydor się nie ożenił z twoją panienką.

— W imię Ojca i Syna! O! toż to jegomość nic a nic nie wie! A jakich-to ktoś jegomości plotek nanosił! Ani tam mowy nie było o ożenieniu. Graf leży już trzy lata na łożu i ani się ruszyć nie może...

Wiadomości te, jak tego się łatwo domyśleć, wzruszyły Karola do dna. Zerwał się z miejsca i chodził jak gdyby we śnie po izbie. Coś mu tam Basia opowiadała, ale on nic nie rozumiał, ani nawet nie słyszał. Myślał tylko, pocierał czoło i coś dziwnie się z sobą borykał. Przeprosił ją wreszcie, że jej nic nie odpowiada, przyrzekł, że niebawem ją znowu odwiedzi i przywiezie jej swego lekarza, prosił ją, ażeby się śmiało udała do niego, jak tylko czego zapotrzebuje, poczem wybiegł pośpiesznie z świetlicy, dosiadł konia i popędził prosto do Grzymalina.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Biblioteka Nauczycielskie Gliwice
Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach
BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1904.

		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
310, 311, 312, 314, 315, 316.	**Z. Kaczkowski**. OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	**Hans Leuss**. Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego.	40	25
317.	**T. Roosevelt**, prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTĘŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	**Anatol France**. HISTORYA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węsławskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	**Kazimierz Gliński**. OBRAZKI Z PRZE-		

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA bresz. kop.
	SZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	**Henryk Brandt.** PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	**Iwan Wazow.** WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	**Deotyma.** SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	**Wilhelm Depping.** JAPONIA.	80	50
328, 329.	**Grazia Deleda.** PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościołkowskiej. Powieść.	80	50
330.	**Wiktor Doleżan.** MANDŻURYA.	40	25
331.	**Jerzy Leueven.** H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pacheiarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	**Werner Siemens.** WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego.	40	25
335.	**Fr. von Eeden.** MAŁY JANEK. Z przedm. i tłom. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	**Eliasz Metschnikoff.** STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	**Stanisław Pilecki.** HISTORYA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	**Maurycy Barrès.** WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	**Marya Ratuld-Rakowska.** PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	**Maurycy Jókaj.** BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345. 346.	**M. Czerny.** DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	**Edmund Demolins.** POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349	**Jonasz Lie.** ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25
350, 351,	**M. Pawlikowski.** BAJKI I OPOWIADANIA	80	50

		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
352, 353.	**CONRAD (Konrad Korzeniowski).** LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Wesławskiej	80	50
354, 355, 356.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** „A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY"... Powieść współczesna z przedmową Wł. Jabłonowskiego	1.20	75
357.	**GUY DE MAUPASSANT.** NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	**EMIL TARDIEU.** ZNUDZENIE. Studyum psychologiczne w przekładzie z francuskiego i przedmowa Marvana Massoniusa.	1.35	1.20
359.	**M. A. SZIMACZEK.** OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360. 361	**DEOTYMA** POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI PUD WIEDNIEM.	80	50

Rok 1905.

362, 363, 364.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80	1.50
365.	**Helena Keller.** HISTORYA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40	25
366. 367.	**G. Flaubert.** SALAMMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369.	**T. Jaroszyński.** CHIMERA z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370.	**H. Lichtenberger.** FR. NIETSSCHE i JEGO FILOZOFIA. Tł. I. Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373.	**M. Rodziewiczówna.** KLEJNOT, z przedmową H. Gallego	1.20	75
374.	**W. Marrené Morzkowska.** CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedm. H. Gallego.	40	25

Tom		CENA w oprawie kop.	brosz. kop.
275, 376.	**Kenijro Tokutomi.** NAMI-KO. Z japońskiego tłómaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węsławska.	80	50
377.	**Cr Th. Zell.** CZY ZWIERZĘ NIEMA ROZSĄDKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
378, 379, 380, 381.	**Teodor Jeske - Choiński.** GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	200
382.	**Booker T. Washington.** AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
383.	384, 385, 386. **Z, Kaczkowski.** ROZBITEK. Powieść z przedmową Wł Jabłonowskiego	2.60	2.00

Dla prenumeratorów „*Biblioteki Dzieł Wyborowych*“ wydaje się **wielkie i znakomite dzieło**

Juliana Adolfa Święcickiego

p. t.:

HISTORYA LITERATURY POWSZECHNEJ

Z ILUSTRACYAMI

którego każdy tom stanowi **osobną całość** i może być oddzielnie kupowany.

Treść wydanych dotychczas tomów:

Tom.			CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
Tom	I.	LITERATURA BABILOŃSKO-ASSYRYJSKA i EGIPSKA. Stron 384. Ilustr. 91. 1901 r.	175	150
Tom	II.	LITERATURA CHIŃSKA I JAPOŃSKA. Stron 447. Ilustr. 97. 1901 r.	175	150
Tom	III.	LITERATURA ARABSKA. Stron 416. Ilustr. 52. 1901 r.	175	150
Tom	IV.	LITERATURA INDYJSKA. Stron 462. Ilustr. 68. 1902 r.	225	170
Tom	V.	LITERATURA PERSKA. Część I. Stron 239. Ilustr. 35. 1902 r.	175	150
Tom	VI.	LITERATURA PERSKA. Część II. Stron 239. Ilustr. 27. 1902 r.	175	150
Tom	VII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część I. Stron 264. Ilustr 49. 1902 r.	175	150
Tom	VIII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część II. Stron 288. Ilustr. 29. 1903 r.	175	150
Tom	IX.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część III. Stron 368. Ilustr. 24. 1903 r.	175	150
Tom	X.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część IV. Stron 312. Ilustr. 11. 1903 r.	175	150

KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
21137